

szturm.com.pl

# SZTURM

miesięcznik narodowo - radykalny nr 26/2016 (11) ISSN 2450-5439

*Brownwood*

U77

Szturm miesięcznik narodowo-radykalny nr 26/2016 (11)

[Krzysztof Kubacki – „USA po wyborach. Rzec o polityce zagranicznej cz.2”](#) (3-5)

[Bogusław Wagner - „Polska emocjami stoi”](#) (6-7)

[Adam Busse - „Kontrkultura – nacjonalistyczna forma walki z Systemem”](#) (8-11)

[Tomasz Dryjański - „Han pasado! I co dalej?”](#) (12-13)

[Witold Dobrowolski - „Nacjonalista oczami przeciwników politycznych”](#) (14-17)

[Dr Tomislav Sunić - „Intelektualny terroryzm przeciw wolności słowa”](#) (18-20)

[Tomasz Kosiński - „Szlezwik – Holsztyn w cieniu bomb – szkice z dziejów Landvolkbewegung”](#)

(21-22)

[Grzegorz Ćwik - „Narodowy anarchizm”](#) (23-33)

[Jan Kuśmierczyk - „Tragedia Germanii”](#) (34-38)

[Patryk Płokita - „Dzieje irlandzkiego nacjonalizmu cz.3”](#) (39-44)

[Tomasz Kosiński - „Recenzja Ivo Andrić „Most na Drinie”](#) (45-46)

## Krzysztof Kubacki – „USA po wyborach. Rzec o polityce zagranicznej cz.2”

Wybory, Ameryka, Trump – te trzy rzeczy do niedawna elektryzowały opinię publiczną na całym świecie. Rządy Obamy odchodzą w przeszłość, każdy zadaje sobie pytanie jak wyglądać będzie nowa prezydentura jednego z najpotężniejszych, a może wciąż najpotężniejszego państwa świata. Od 27 lat rządzący III RP latają i błagają USA o wszystko za nic, robiąc z siebie chłopców na posyłki. Co z przebijających się plotek możemy wywnioskować i jakie działania jako państwo powinniśmy podjąć, jeżeli zmiany w Stanach Zjednoczonych będą takie jak opisywały je wszystkie media świata od demoliberalnych po nacjonalistyczne. I jeszcze małe odejście od głównego tematu – nie możemy podchodzić i odrzucać tego co dzieje się w USA ze względów poglądowych albo odpowiadać na każde pytanie dotyczące tego kraju jakimiś kawałkami „szatański kraj” etc. Trzeba obserwować ruchy na szachownicy, polityka zagraniczna powinna być trzonem siły państwa. W III RP ten trzon, praktycznie nie istnieje. Temat jest bardzo ważny, bo niestety bardzo duża część naszego społeczeństwa uległa politykom głównego nurtu, którzy twierdzą, że bez USA istnieć nie będziemy, a Rosja tylko czeka, żeby nas wchłonąć, jeżeli tylko nasz wielki „sojusznik” odwróci wzrok.

W poprzednim numerze swój tekst poświęciłem nam i Rosji – o niej też wspomnę w tym tekście. Dlaczego? Dlatego, że Trump nazywany jest „kumplem Putina”. Człowiekiem, który ma przestać interweniować na Starym Kontynencie, a w szczególności w krajach środkowo-wschodnich. Byłaby to dla nas dobra wiadomość, jednak niedobra dla elit III RP – bo cała ich polityka ległaby w gruzach. Wiem, wiem – brzmi to dosyć antypaństwowo – ale to byłby właściwy czas na zmianę naszego kursu. Na pewne zamknięcie się na siebie, skupieniu się na swojej sile i swoich możliwościach, oddaleniu się w pewien sposób od zachodu, a skupieniu na polityce lokalnej oraz lokalnych sojuszach. Kolejną sprawą, jest właśnie znów Rosja. Jeżeli stanowisko Trumpa to prawda i ma on inne podejście niż niektóre poprzednie prezydentury w USA, to znaczy, że czas najwyższy uspokoić nasze stosunki na Wschodzie. Ostatnia wypowiedź Putina na temat stosunków polsko-rosyjskich jest dosyć polityczna, ale warto też czytać między wierszami. Stwierdził, że nasze stosunki są dalekie od zadowalających, ale obie strony powinny dążyć do ich polepszenia i Rosja jest na to otwarta. Nasza polityka zagraniczna i ludzie za nią odpowiedzialni powinni na tego typu zachowania reagować, zamiast chować głowę w piasek i udawać, że nic się nie dzieje. Polityka to nie tylko Zachód, ale także Wschód o czym bardzo często zapominamy. Unormowanie stosunków z Rosją i pragmatyzm działania państwa – to powinny być cele naszej polityki zagranicznej na chwilę obecną. Jeżeli prezydentura Trumpa ma w tym nam tylko pomóc, to bardzo dobra dla nas wiadomość.

Bardzo chciałbym, żeby prezydentura Trumpa odłożyła na bok wszelakie przysyłanie jeszcze większej ilości swoich żołnierzy do naszego kraju czy rozmieszczania NATO podobnych rzeczy na naszym terytorium. Bardzo ważną kwestią jest nasza własna armia, o której słychać czasami jedynie w propagandowych programach. Przeważnie programy i informacje skupiają się na błagalnych wręcz apelach o wsparcie od NATO, przysyłanie obcych żołnierzy etc. Jeżeli ktoś uważa, że obce kraje będą za nas umierać...proszę Was. To jednak, niestety – w ubiegłym stuleciu my z pieśnią na ustach ginęliśmy za kogoś, kiedy inni pukali się w głowy. I będzie tak po raz kolejny, jeżeli nasza polityka zagraniczna będzie nacechowana emocjami i wiecznym dążeniem do konfliktu i podlizywaniem się, narażając własne interesy – polecimy w przepaść, z wiecznie łączącymi się w bólu naszymi „sojuznikami”. Tragedią jest brak wiary w siłę własnej armii, jeżeli błaga się niczym żebrak o wsparcie. Więc o dziwo może się komuś wydawać to kuriozalne, ale tak, mały krok wstecz ze strony USA z naszej części Europy byłby lekkim kubłem zimnej wody na gorące głowy i może do niektórych twardogłowych dotarłoby w końcu, że zmiana jest potrzebna. Dla wielu Ameryka to uosobienie wszelakiego zła, degeneracji, upadku, McDonalldów, fast foodów i otyłych ludzi. Jeżeli jednak obecny sposób bycia Amerykanów możemy delikatnie mówiąc, uznać za szkodliwy, to jednak od najsilniejszego państwa, powtarzam jeszcze raz, plecami nam odwracać się nie wolno. Jeżeli USA kładzie gdzieś swą łapę, bądź te łapę odstawia to znaczy, że zaczyna się tworzyć pewna luka. Jeżeli znajdzie się taka luka teraz na Wschodzie, to trzeba po prostu – otrzeźwić. Co do samego sposobu bycia Ameryki i Amerykanów bardzo wielu widzi w Trumpie zbawcę, który ochroni USA przed nielegalną imigracją, zmieni styl życia zwykłego Amerykanina, pokaże światu Amerykę z innej strony, nie tej tylko zdegenerowanej popkultury. Polecałbym jednak tutaj znowu ochłodzić głowy, pamiętajmy, że Trump to też miliarder, zna pewnie wszelakie marketingowe sztuczki, a wiemy też, na czym polegają kampanie wyborcze i kampanijne obietnice. Wbił się akurat w pewien klimat i go stosownie wykorzystał. Czy zacznie teraz politykować i zmieni swoje nastawienie na nieco łagodniejsze? Oby i nie, choć czekam z niecierpliwością, jak jego kadencja będzie wyglądać.

Wróćmy jednak do wcześniejszego zagadnienia – czyli możliwości wycofywania się USA, choć to może za dużo powiedziane, z naszego regionu. W jaki sposób prowadzić politykę nie z Rosją, a z USA? Wiadomo, że wszystko co jest w tym tekście napisane, jest pisane przez osobę nie mającą wpływu na to jak polityka zagraniczna ma wyglądać. Jednak warto pisać o tym jak ma ona funkcjonować i co jest lekarstwem na dzisiejsze zło. Otóż powinniśmy po pierwsze zachować w tej czy innych sytuacjach kamienną twarz. Polityka zagraniczna to gra pokerowa. Gesty i mimika są bardzo ważne. Zimna krew to główny składnik polityki zagranicznej, którego brakuje niestety władzy pookrągłostołowej. W żadnym razie nie wchodzi w grę żadna postawa błagalna. Jeżeli myślimy o sobie jako o silnym państwie, sprawiamy chociaż takie wrażenie roztropnie prowadząc

naszą politykę i ugrywając wszystko co się da, dla naszych korzyści. I tak największą porażką była wypowiedź jednego z PiS-owskich notabli, który stwierdził, że niestety, ale od Trumpa nikogo nie znamy. Naprawdę, nie musi wiedzieć o tym cały świat. A jeżeli nikogo tam nie znamy, to trzeba było po pierwsze myśleć o tym wcześniej bo kampania wyborcza w USA trwa kawał czasu, a po drugie jeżeli do takich zaniedbań doszło, należy je jak najszybciej naprawić. Niestety, obecnie sprawującym w Polsce politykom zdarza się powiedzieć po prostu, za dużo. Co nie jest z korzyścią oczywiście dla państwa, którego karty są całkowicie odkryte. Naprawdę, to nie inny kraj jest zagrożeniem dla Polski, a nieodpowiedzialność ludzi prowadzących politykę zagraniczną. Nawet jeżeli USA naprawdę chciałoby się kiedykolwiek stąd wycofać, nie można tak czy siak jak naburmuszone dziecko odwracać się i obrażać. Politykę prowadzić nadal, tam gdzie się da ugrać coś gospodarczo, tam gdzie się da, ugrać też coś militarnie. Po prostu – interesy. Bez padania na kolana błagając o amerykańskie dywizje nad Wisłą. Dywizje musimy mieć własne. Jeżeli USA robią od nas krok w tył, my musimy zrobić krok do przodu w stosunkach z Rosją przy okazji budując i wspierając ideę Międzymorza/Grupy Wyszehradzkiej. Budując siłę spokojnie i powoli tu lokalnie wśród naszych sąsiadów oraz krajami pobliskimi przy okazji uspokajając stosunki z Rosją. Jak widać, wycofanie się USA z naszego regionu przyniosłoby nam sporo plusów i możliwości nowych ruchów.

Podsumowując życzę Ameryce dobrych rządów prezydenckich i przesunięcia wajchy w drugą stronę. Zobaczmy, czy te wszystkie płonne nadzieje pójdą już niedługo w niepamięć czy jednak coś dobrego za oceanem się za dzieje. Mam nadzieję, że Ameryka jednak zrobi krok w tył z Europy Środkowo-Wschodniej co może się niektórym wydawać dziwne, ale otworzy nam nowe możliwości, a przede wszystkim pozwoli otrzeźwieć. Nam życzę zejścia na ziemię, prowadzenia normalnych interesów i przestania szukania sobie wrogów przez manię antyrosyjskości. Chciałbym, żeby ktoś kiedyś o nas powiedział – Polska nie ma przyjaciół, ma tylko interesy.

## **Bogusław Wagner - „Polska emocjami stoi”**

Polacy to naród bardzo emocjonalny. Niestety, gdy górę biorą emocje ludzie przestają myśleć, a to przekłada się na takie, a nie inne wybory, gdyż człowiek rozemocjonowany, to człowiek dający się łatwo zmanipulować. Wykorzystują to specjaliści, hochsztaplerzy polityczni zarówno z lewej jak i z prawej strony sceny politycznej zwanej demokracją liberalną.

Jak łatwo manipulować rozemocjonowanym tłumem można było zaobserwować podczas tzw. Czarnych Marszy gdzie socliberałom dało się przekonać grupę Polek i Polaków, że rząd coś chce zmienić w obowiązującej obecnie, kompromisowej, ustawie dotyczącej aborcji. Jak wiadomo, rząd nic nie chciał zmienić, a wręcz bronił się rękoma i nogami przed tymi zmianami mając za plecami poparcie Episkopatu. Podczas tych parasolkowych marszy z wieszakami w dłoniach ludziom umknęło, że właśnie w tym samym czasie dano zielone światło do podpisania umowy CETA. Obecnie rządowy projekt 4000 też stał się celem dla rozemocjonowanych zwolenników opcji socliberalnej. Już ich projekcje myślowe podpowiadają im, że rząd każe rodzić martwe dzieci. To nic, że projekt ani słowem nie wspomina o jakimkolwiek przymusie. Ważne są emocje, a nie to co jest w rzeczywistości.

Emocje są również niezbędnym elementem każdego tropiciela komuny, imigrantów oraz walczącej z islamem facebookowej husarii. Polski tropiciel komuny, mimo słabej lub wręcz żadnej znajomości doktryny Marksa, wszystko co odbiega od jego wizji Polski określa mianem „komuna”. To nic, że w Polsce próby wprowadzenia systemu opartego na wzorach sowieckich skończyły się wraz ze śmiercią Bieruta, rozemocjonowany tropiciel odrzuca cały dorobek PRL jako coś gorszego. Komuna i już. Emocje nie pozwalają spojrzeć na sprawy z odpowiedniej perspektywy i dostrzec, że np. mieszkań budowało się więcej niż obecnie, a poziom szkolnictwa był na wyższym poziomie. Komuna, a w domyśle Rosja. To nic, że obecnie mamy w Polsce kilkaset tysięcy żyjących poniżej granicy biedy, to nic, że samobójstwa z przyczyn ekonomicznych nikogo już nie dziwią etc. etc. Bezlitośnie żerują na tym partie usytuowane z prawej strony sceny politycznej. Wałkowanie non stop tematu Wyklętych – oczywiście należy pamiętać o ich poświęceniu dla Ojczyzny - organizowanie uroczystości patriotycznych, by w tym samym czasie wpędzać nas w coraz większe zależności od ponadnarodowych organizacji finansowo politycznych. Jedną z odmian tropiciela komuny jest wolnościowy tropiciel wszelkich socjalizmów ukrytych w podatkach, ZUSie czy innych składkach płaconych na rzecz państwa.

Tak samo skrajne emocje wywołuje sprawa islamu i imigrantów. Wielotysięczne tłumy rozemocjonowanych ludzi na marszach antyimigranckich protestowało przeciwko czemuś, czego

praktycznie w Polsce nie ma, czyli prawdziwego najazdu islamskich imigrantów. Ludzie protestujący przeciwko skutkom, są prawie całkowicie odporni na przyczyny tego zjawiska jakim jest imigracja z Bliskiego Wschodu. Wystarczy rzucić hasło islam u bram i u rozgorączkowanej gawiedzi zapala się czerwona lampka i wyrastają husarskie skrzydła. Jednak najczęściej kończy się na obrzuceniu meczetu kawałkami wieprzowiny lub nabazgraniem na murze jakiegoś hasła. Żadnej głębszej analizy tematu gdyż dysonans poznawczy tematu mógłby zachwiać dotychczasowym podejściem, a to nie jest na rękę specom od grania na emocjach tłumów, a przecież wystarczy odrobina dystansu by dostrzec, że islamska imigracja ma miejsce do krajów, które odeszły od wiary chrześcijańskiej na rzecz liberalnego indywidualizmu. Polska zaś nieuchronnie zbliża się do tego modelu w czym skutecznie pomagają hierarchowie kościoła.

Już przedwojenni teoretycy i praktycy myśli narodowej przestrzegali by Polacy walczyli z wadami, a taką wadą jest niewątpliwie uleganie emocjom. To w połączeniu z mentalnością chłopopańszczyźnianą daje opłakane skutki co widać choćby po pobieżnym przeglądzie portali społecznościowych. Płacz, że administracja jednego z serwisów zbanowała jakieś konto i uzależnienie działalności od tego serwisu jest znamieny i charakterystyczny. Nacjonalizm ma za zadanie budowanie silnego narodu ludzi zdolnych do poświęceń, myślących samodzielnie, dociekających do przyczyn pewnych zdarzeń itd. Jeśli nie zdołamy wyzwolić się z emocjonalnego patrzenia na rzeczywistość, to na zawsze pozostaniemy małym narodem gdzieś na peryferiach Europy snującym sny o Wielkiej Polsce, lecz gdy przychodzi co do czego, to kończy się na maszerowaniu w takt melodii granych przez ludzi, którzy nie są zainteresowani zmianami.



## **Adam Busse - „Kontrkultura – nacjonalistyczna forma walki z Systemem”**

Mija już ponad tydzień od obchodów Święta Niepodległości, opadły emocje, kurz i metry sześcienne dymu od odpalanej kilogramami pirotechniki na manifestacjach, meczach, na których część kibiców, która nie pojechała na nacjonalistyczne marsze do Warszawy, Krakowa czy Wrocławia, zaprezentowała rocznicowe oprawy. To jest już mój szósty raz w życiu, kiedy od 2011 roku jeżdżę do polskiej stolicy wziąć udział w Marszu Niepodległości. Teraz widzę różnice między tym, co było ponad pięć lat temu, a co jest dzisiaj. Medialne jaczejki ujadają lata temu ustami dziennikarzy, polityków, społeczników i uniwersyteckich profesorów sloganami pełnymi antyfaszystowskich bzdur, mowy nienawiści, szczuły policyjnymi represjami względem nie tylko radykalnej prawicy oraz kibiców, ale i zwykłych obywateli chcących uczcić rocznicę odzyskania niepodległości, a zarazem wyrazić sprzeciw wobec bandyckiej polityki Platformy Obywatelskiej. Pamiętam ostrzeżenia rodziców, kpiny znajomych z liceum i wyzwiska od faszystów, nazioli i kogo wie, czego jeszcze. Tak się zaczęła kręta i nieraz idąca w życiu pod górę droga nacjonalisty, którą podążam. Zaś od 2015 roku nie ma już policyjnych prowokacji, zadym, walk z policją i lewicowymi bojówkarzami, co też pamiętam z poprzednich lat. Jest spokój, fason i kulturka, ponad 100 tysięcy dumnych Polaków maszeruje, choć pewien dreszcz emocji nadal jest, helikoptery policyjne latają, eksperci medialni od patriotyzmu nadal szczują na uczestników nacjonalistycznych manifestacji, a policja jedyne zastrzeżenia ma do masowo, co chwila, odpalanego piro. Mimo, iż Marsz Niepodległości stał się manifestacją młodego, nowego patriotyzmu, wyrosłego na fali mody na patriotyzm, to jednak moim subiektywnym zdaniem nic nie traci ze swojego radykalnego, antyglobalistycznego przekazu. Świadczą o tym bardzo dobry jego odbiór wśród młodych Europejczyków, postulaty organizatorów związane obecnie z cenzurą prewencyjną, sprzeciwem wobec masowej imigracji muzułmańskiej do Europy, liberalizacji prawa aborcyjnego i utrzymania obowiązującego od 1993 roku „status quo” przez rząd Prawa i Sprawiedliwości oraz traktatów TTIP i CETA, ograniczających naszą niezależność gospodarczą na rzecz ponadnarodowych korporacji, a także liczne delegacje nacjonalistów z całej Europy, umacniających swe więzi i przyjaźnie celem walki o wspólną ojczyznę, jaką jest i ma być w przyszłości Europa Narodów.

Nie będę jednak tu opisywał ani komentował tego, co się działo na Marszu Niepodległości, ani wtórności haseł, ani godnego pożałowania incydentu, jakim było poturbowanie działaczki Młodzieży Wszechpolskiej, skrojenie jej z flagi Śląska Opolskiego i spalenie przez ludzi, którzy myśleli, że to flaga ukraińska, ani nie odniosę się do tego, co się działo i przeżyło, ponieważ zrobili to już organizatorzy Marszu, portale narodowe, konserwatywne i szeroko rozumianej prawicy, zamieszczające po 11 listopada relacje po relacji z tego przemarszu. Nie widzę więc sensu w



powielaniu opisów Marszu Niepodległości. Meritum sprawy będzie przyjrzenie się nowej, nacjonalistycznej kontrkulturze, która narodziła się oddolnie i w opozycji do demoliberalnego Systemu. Moją uwagę kilka dni temu przyciągnęła grafika nadesłana przez redakcję portalu nacjonalistyczno-kibicowskiego Droga Legionisty na tablicę wydarzenia, jakie organizuje Trzecia Droga. Mianowicie na tej grafice siedzi sobie na schodach zadumany człowiek z głową zasłoniętą motywem szczura, przed nim siedzi pies (czworonóg, a nie w niebieskim mundurze oczywiście), a za nim płot. Hasłem przewodnim grafiki jest dewiza: Promuj treścią, a nie mordą. Będzie to nawiązanie do organizowanej przez Trzecią Drogę kolejnej edycji konkursu literackiego Orle Pióro – nacjonalistyczna strona kultury, która ma na celu nie tylko wykazanie się umiejętnościami lirycznymi w tematyce religijnej, rewolucyjnej i historycznej, oraz podzielenie się tym w naszym nacjonalistycznym świątku, ale i właśnie kształtowanie tego, o czym chcę powiedzieć na bazie tytułu artykułu, jaki się ukáže w najnowszym Szturmie. Kształtowanie kontrkultury ideowej i duchowej, mającej zwłaszcza dla uświadomionej narodowo młodzieży być opozycją wobec tego, co w sferze idei i wartości przekazuje, a właściwie narzuca młodym dzisiejszy świat.

Dzisiejszy świat oferuje młodym prostą filozofię życia, parafrazując Ernsta Jüngera, choć określenie tego tym terminem może deprecjonować dorobek tego wielkiego pisarza i nacjonalisty, ale trudno mi znaleźć proste dwa słowa na opisanie tej rzeczywistości. Dzisiejsza „filozofia życia” młodego człowieka, który ma w dupie wszelkie wartości, idee i nie zawraca sobie głowy sprawami duchowymi, obraca się wokół słynnej dewizy pt. Carpe Diem. Carpe Diem, czyli chwytaj życie, korzystaj z życia codziennie, używaj z niego, bo dzisiaj lub jutro może być dniem Twojej śmierci. Ile to razy od swoich znajomych to słyszałem, żeby tak żyć, żeby nie zamartwiać się sprawami pozaziemskimi, nie interesować się nacjonalizmem i sprawami politycznymi, w myśl wyuczonych haseł, bo „polityka dzieli”, „i tak się nic nie zmienia”, „lepiej usiąść i mieć wyjebane”, „w ogóle nie interesować się polityką”, „co z tego będziesz miał, ile zarobisz, jakie korzyści?” etc. itd. Zamiast tego coraz więcej czytałem, przeglądałem nacjonalistyczne portale, a nawet zacząłem pisać poezję, żeby – jak śpiewał polski zespół punkrockowy Dezerter – Zanim ręce opadną, a nadzieję wygasną./Zamiast walczyć z rzeczywistością – próbuj tworzyć własną! Każda forma kultury i sztuki artystycznej (rzecz jasna przez duże K i duże S, a nie sprzedawany dzisiaj pseudokulturalny kicz) jest bardzo dobrym wyrazem walki z Systemem. Nacjonalistyczna publicystyka, poezja, proza literacka (edycje Orlego Pióra), muzyka tożsamościowa (tutaj ukłony dla bardzo dobrej roboty kanałów Muzyka tożsamościowa i Muzyka włoskiej prawicy), sztuka uliczna w postaci konkretnych grafik internetowych i ulicznych graffiti ala polskie Czarne Szczury czy słynny ruski street-arter Umka, projekt Czerwoni nie czytają mający promować nacjonalistyczną i konserwatywną literaturę, sztukę i kulturę, oraz krzewienie w ramach kontrkultury – w kontrze do kultu alkoholu, wiecznej imprezy, ciała i fast-foodowego obżartstwa – zdrowego trybu życia,

uprawiania sportu, stopniowego ograniczania używek bądź ich porzucania na rzecz idei Straight Edge. Przed laty założyciel Falangi Hiszpańskiej, Jose Antonio Primo de Rivera (którego rocznicę śmierci obchodziliśmy niedawno), napisał: Wierzę, że sztandar został dziś wzniesiony. Będziemy go bronić radośnie, poetycznie. Ponieważ są tacy, którzy wobec marszu rewolucji myślą, że aby zjednać poparcie, należy przedstawić rozwiązania ostrożne; myślą, że powinno się przemilczać w propagandzie wszystko to, co mogłoby wzbudzać emocje lub wykazywać postawę energiczną i skrajną. Co za błąd! Narodów nikt nigdy bardziej nie poruszył, niż poeci i biada temu, kto nie potrafi wnieść poezji, która niszczy, poezji, która niesie obietnicę! Te słowa mogą stanowić istotę tego, jak ważny jest rozwój kulturalny w życiu każdego narodowego rewolucjonisty.

Bardzo ciekawym aspektem jest występująca wśród młodych Polaków moda na patriotyzm. Na ile jest ona autentycznym, szczerym uczuciem, które narodziło się wśród młodzieży w reakcji na kryzys Wartości, dekadencję moralną, walkę z religią oraz narzucaną nam przez Zachód kulturę niosącą, poza chwilowym zaspokojeniem potrzeb, żadnego przesłania duchowego; a na ile – modą, jak każda inna, wzorem mody na hip-hop, bluzy WWO, Prosto, Krzywo czy obecnej mody wśród gimbusów na naśladowanie „króla Albanii”, „czarnych charakterów”, bohaterów głupich, bezsensownych sitcomów typu „Skoła”, „Trudne sprawy” czy coraz bardziej popularnych młodzieżowych youtuberów? To pozostawię już każdemu Czytelnikowi do subiektywnej oceny. Kwestia gimbopatriotyzmu również konsternuje nasz narodowo - rewolucyjny świeatek, co mogłem zauważyć na przykładzie dwóch artykułów, jakie ukazały się w lutym 2016 roku na portalu Kierunki, zawierających odmienne od siebie opinie na temat mody na patriotyzm (mowa tu o tekstach pt. Ubierz się w światopogląd i Zamiast mody, stwórzmy kulturę). Powiem tak, autorzy wyżej wymienionych artykułów mają rację, i Natalia Pyzia, i polemizujący z nią D. Nie każdy, kto nosi na sobie t-shirt Surge Polonii czy ProPatriae z motywem Żołnierzy Niezłomnych, NSZ, wizerunkami Bohaterów etc., jest ograniczonym umysłowo pozerem, który wyczuł tę modę i jedynie maszeruje, sam znam ludzi ubierających się w takową odzież i angażujących się w różne inicjatywy narodowe, kibicowskie i społeczne. Zgadzam się z tym, że nie wolno generalizować, choć są niestety też uboczne skutki takiej mody – np. krążąca w odmętach Internetu słynna budka z husarskimi hot-dogami czy napój energetyczny „Żołnierze Wyklęci” stworzony na bazie „Super Ruchacza” (co akurat powinno się jednoznacznie potępić). Nie mogę też jednak nie zgodzić się z autorem polemiki, który zaznaczył, iż jednym z motorów napędowych takiej mody jest nastawienie na czysty zysk finansowy czy też zastój idei przejawiający się m.in. w tym, że nie każdy noszący te gadzety wie, do jakich symboli i ideologii nawiązują, a przecież tłumaczenie tego starym jak świat hasłem „Bóg, Honor i Ojczyzna” może okazać się niewystarczające dla zwykłego laika, niezainteresowanego tematem, a w toku dyskusji może zaraz wyjść elementarny brak wiedzy na temat tego, co się nosi na bluzie. D. podkreślił również to, że nacjonalizm prowadzi przede

wszystkim walkę o ducha każdego z nas, stąd walka z każdym przejawem konsumpcjonizmu jest pożądana.

Wojna o kulturę jest jednym z istotnych elementów naszej walki. Na ile nacjonalizm ją wygra, zależy tylko od nas. Warto zatem brać udział w nacjonalistycznych konkursach poetyckich, słuchać regularnie tożsamościowej muzyki, czytać literaturę, kształtować swoje ciało na treningach, pisać publicystykę w nacjonalistycznych czasopismach i portalach, oraz rzucić wszystko, co nam szkodzi ciału i duszy, daleko w cholerę.

## **Tomasz Dryjański - „Han pasado! I co dalej?”**

Jedenasty listopada od kilku lat stanowi centralny punkt nacjonalistycznego kalendarza, Marsz Niepodległości to fenomen na skalę europejską. Tradycyjnie ulicami Warszawy przemaszerowało około 100 tysięcy ludzi demonstrujących swój patriotyzm. Wspaniały pokaz siły polskiego nacjonalizmu! Szkoda, że piękny obraz MN niewiele ma wspólnego z rzeczywistością.

Marsz przeszedł. Han pasado! Tylko co dalej? Wielokrotnie pisałem już na łamach Szturmu o wielkiej roli jaką MN odegrał w odrodzeniu naszego ruchu. Ostatnie lata to piękny rozwój znajdującego się nie tak dawno w totalnym niebycie nacjonalizmu, to również zmiana mentalności młodego pokolenia, które masowo zaczęło poczuwać się do patriotyzmu. Nie możemy być jednak ślepi, problemów mamy znacznie więcej niż sukcesów.

Ostatnio usłyszałem zdanie, że wiara w wieku 23-24 lat już kończy działalność, przechodzi na nacjonalistyczną emeryturę. Brzmi śmiesznie, jak ludzie kończący studia, ledwie wkraczający w prawdziwą dorosłość mogą być emerytami? Niestety, ale w przypadku działalności narodowej bardzo często tak jest, jesteśmy ruchem małałatów, a to praktycznie uniemożliwia budowę czegoś poważnego. W ostatnich latach przez szeregi organizacji nacjonalistycznych przewinęła się wuchta wiary, której już nie ma, najczęściej ktoś bardzo szybko się znudził i w tym wypadku nie widzę powodów do płaczu, ani zastanawiania się nad przyczynami, po prostu człowiek zainteresował się szeroko pojętym patriotyzmem, chciał coś robić, ale się do tego nie nadawał. Takich ludzi zawsze był spory odsetek i tak już pozostanie. Kolejne powody odejść powinny nam już jednak dawać do myślenia. Skoro ludzie rezygnują po kilku latach, uważając, że wyrosli z rozdawania ulotek, maszerowania czy zbiórek krwi, znaczy, że ponieśliśmy dwie porażki - wychowawczą, bo nie umieliśmy nauczyć go wierności ideałom, ale także nie umiemy stworzyć modelu działania dla osób wchodzących w wiek prawdziwie dorosły. Tymczasem to 30-40-latkowie powinni stanowić trzon każdego poważnego ruchu społecznego, mając wiele lat doświadczenia aktywisty, wiedzę, pieniądze, kontakty, poukładane życie rodzinne i zawodowe mogliby wprowadzić cały ruch na zupełnie nowy poziom. U nas takich osób praktycznie nie ma! Zmarnowaliśmy ćwierćwiecze III RP nie potrafiąc wychować sobie kadr.

Oczywiście działalność osiemnastolatka różni się od tego czym powinien zajmować się człowiek trzydziestoletni. Działacz doświadczony potrzebny jest w związkach zawodowych, spółdzielniach, radach osiedli/gmin/miast, jako wydawca, publicysta, animator życia kulturalnego i sportowego w okolicy, a wreszcie wychowawca młodszych aktywistów...

Tacy ludzie potrzebni są też w polityce, która jest ważnym elementem życia narodowego. Działacze w wieku 22-25 lat, legitymujący się już jakimś poważniejszym stażem muszą uczyć się dojrzałej działalności, wtedy też doskonale widać do czego taki już w miarę ukształtowany aktywista ma predyspozycje, a od jakich obszarów powinien się trzymać z daleka.

Polityka była powodem zniechęcenia wielu młodych działaczy, w pewnym momencie dwudziestolatkowie marzyli, że w niedługim czasie zasiądą w ławach poselskich, poświęcali wuchtę energii na zbieranie podpisów, kolejne porażki sprawiły, że spora grupa odeszła, inni obrali drogę nadkumatości - „polityka jest niegodna prawdziwego radykała, tylko rewolucja na fejsbuku i rządy osiemnastolatków nie znających się na niczym”! Te doświadczenia pokazują wyraźnie, że polityka nie jest dla dzieciaków, osoby poniżej 25. roku życia powinny być trzymane od niej z daleka, posunę się nawet do stwierdzenia, że taki powinien być ustawowy próg uprawniający do członkostwa w partiach politycznych, do tego co najmniej 3 lata realnej działalności społecznej.

Musimy być obecni w polityce! Zaczęń cynicznie bo od subwencji. Ta forsa jest nam po prostu potrzebna. Mając do dyspozycji kilka milionów złotych rocznie, plus pieniądze na biura i apanaże posłów można stworzyć nacjonalistyczny ośrodek szkoleniowy z dobrą bazą noclegową, sportową, salami wykładowymi, strzelnicą, miejscem na koncerty... Idealne miejsce na obozy formacyjne zwłaszcza jeżeli umiejscowimy go w górach. Zostanie nam na wydawanie książek, prasy, założenie radia lub telewizji, organizację koncertów, turniejów sportów walki i piłki nożnej – zarówno w kraju jak i na Kresach. Polityka to jednak przede wszystkim jedyna realna możliwość oddziaływania na losy kraju, do tego potrzeba nowoczesnego programu skupionego na realnych potrzebach społecznych.

Jeżeli nie stworzymy poważnego, dojrzałego ruchu, rację będą mieli ci wszyscy, którzy krzyczą „No pasaran”! A to smutna wizja, niech te dwa słowa pozostaną tytułem genialnego utworu Błędnych loków i humorystycznym akcentem hiszpańskiej wojny domowej, ale nigdy prorocstwem

## Witold Dobrowolski - „Nacjonalista oczami przeciwników politycznych”

Nacjoniści w oczach demoliberalnych i lewicowych środowisk najczęściej przedstawiani są jako niewykształcona, pełna nienawiści i fobii młodzież. Nazywano i nazywa się ją „faszystami” jako epitetem wpisując się w propagandę stalinowską. A przecież przy całej piszącego te słowa autora sympatii do idei faszyzmu (faszyzm to poezja jak mawiał Robert Brasillach) to w polskim szeroko pojętym środowisku nacjonalistów jednak w pełni utożsamiającą się z tą ideą osobę trudno spotkać, a co dopiero organizację. Na podstawie wielu artykułów, wypowiedzi, reportaży, konferencji, oraz badań można będąc nacjonalistą łatwo dojść do wniosku, że środowiska ideowo wrogie, a równocześnie będące w głównym nurcie z niepodważalną siłą w polityce kreują obraz nacjonalisty nie mający nic wspólnego z rzeczywistością. Zaś badania datowane przez różne instytucje UE przeprowadzane są bez jakichkolwiek wywiadów środowiskowych wśród nacjonalistów, większość owych środowisk z góry dochodzi do wniosku, że wie z czego wynika wzrost nastrojów nacjonalistycznych, czyli braku odpowiedniej edukacji, warsztatów równości w szkołach, ogólnie rzecz biorąc przyczyną tendencji narodowych jest ciemnogród i katolicki szariat.

W tym kontekście w pewien sposób pozytywnym zaskoczeniem mogła być dyskusja zorganizowana przez środowiska związane z radiem TOK FM w Muzeum Żydów Polskich w Warszawie pod nazwą: Tożsamość Nacjonalisty. Uczestnikami dyskusji byli prof. Wojciech Burszta, kierownik Katedry Antropologii Kultury w Instytucie Kulturoznawstwa SWPS Uniwersytet Humanistycznospołeczny, oraz dr Anna Wójcik - asystentka naukowa w Poznańskim Centrum Praw Człowieka Instytutu Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk. Całość spotkania zaczęła się od profesjonalnie warsztatowo nakręconych wywiadów z rzekomo przypadkowymi osobami, które pytano o pojęcia nacjonalizmu, patriotyzmu, o odczucia w stosunku do nacjonalistów. Oczywiście wszystkie trzy osoby wypowiadały się na temat nacjonalizmu negatywnie, jedna będąca młodym człowiekiem, imigrantem z Armenii postrzega nacjonalistów jako grupę organizującą marsze, na których agresywnie propagują swoje zdanie, a w prywatnych dyskusjach nie są merytoryczne, nigdy nie szukają kompromisu. Z jednej strony można się zgodzić z tym, że pojęcie nacjonalizm kojarzy się w Polsce głównie negatywnie w przeciwieństwie do krajów anglosaskich, czy przykładowo wschodniego sąsiada Polski, Ukrainy gdzie pojęcie nacjonalizmu jest często stosowane jako synonim do patriotyzmu. Z drugiej strony jednak po tych wywiadach dosyć jasne było, że dyskusja miała z góry określać nacjonalizm negatywnie co można się było spodziewać od samego początku. Pytanie brzmiało czy poziom będzie odbiegał od przekazów medialnych?

Okazuje się, że tak. Podczas dyskusji podniesiono sprawy, które często umykały „ekspertom” antyfaszystowskiemu, czy liberalnym dziennikarzom stale zajmujących się problematyką

nacjonalizmu. Zwrócono uwagę na fakt odmienności polskiej tradycji nacjonalistycznej od innych nacjonalizmów europejskich, oraz na argumenty chrześcijańskich nacjonalistów jakoby czynnikiem samoograniczającym przekierowanie ideologii w stronę rasistowską (w sensie biologicznym), czy zbrodniczą jest Bóg będący najważniejszym celem. Dobro narodu i sam naród jest dopiero na drugim miejscu. Dyskutujący posiłkują się tutaj reportażem Gazety Wyborczej, którego autorka weszła na kilka miesięcy w struktury Obozu Narodowo-Radykalnego. Przedstawia on nacjonalistów jako mocno związanych z przedsoborowym katolicyzmem, opozycyjnym do współczesnego, liberalizującego się Kościoła Katolickiego. Sami dyskutujący co ciekawe przyznali, że reportaż był na niskim poziomie, osobiście podejrzewam, że tekst studentki dziennikarstwa, która go pisała opublikowany został wyłącznie z powodu potrzeby chwili przed Marszem Niepodległości. Dyskutujący dodali w tej kwestii jeszcze, że nacjonaści chrześcijańscy polscy wierzą w wyjątkowość narodu polskiego jako tworu boskiego i w jego dziejową misję wywyższając go ponad inne. Oczywiście prawda jest zgoła inna, a takie myślenie istnieje raczej na marginesie świadomego nacjonalizmu w Polsce i postrzegane jest negatywnie.

Główny problem polegał na utożsamianiu nacjonalizmu z szowinizmem przed uczestników dyskusji. Nieodłączną cechą nacjonalisty jest duma z bycia Polakiem i nienawiść do obcych, mniejszości etnicznych, a fundamentem jego ideologii jest nienawiść. Nacjonalista nie jest w stanie odpowiedzieć na to kim jest, ale na to kim nie jest np. brudnym Cyganem, roznoszącym choroby Żydem. To tylko kilka z wielu wypowiedzi, które padły. Równocześnie wspomina się o tęsknocie wśród młodego, radykalizującego się pokolenia za wojną, która miałaby rozwiązać wiele problemów trapiących Europę. Oczywiście dyskutujący nie wiedzą lub nie chcą wiedzieć, że w polskim nurcie nacjonalistycznym rozwija się idea wolna od szowinizmu na wzór współczesnych europejskich nacjonalizmów i jest ona obecna w środowisku od lat 90-tych, tak samo sprzeciw wobec wojen między europejskimi narodami, z których korzyści czerpać może tylko garstka polityków, czy oligarchów kosztem tysięcy żyć.

Pojawiło się też dosyć żenujące stwierdzenie, że narodowcy dzielą ludzi na Polaków, nie-Polaków i byłych Polaków, z czego do tego trzeciego typu miałby między innymi wg. ONR należeć Piłsudski. Trudno jednak będąc przy zdrowych zmysłach odmawiać narodowości (z którą się przecież Europejczycy rodzą) osobom, które są wrogami politycznymi. Równocześnie sam przykład Piłsudskiego jest po prostu skrajnie głupi. Trudno odmawiać ogromnych zasług jego osoby dla Polski nawet z pozycji narodowych, czy endeckich będących przecież często w totalnej opozycji do Sanacji.

Dyskutujący dostrzegają jednak, że nieprawdą jest stereotyp nacjonalistów jako środowiska niewykształconych, prymitywnych dobrze zbudowanych mężczyzn o ogolonych głowach. Zwrócono uwagę na niemałą ilość młodych kobiet w organizacjach, oraz manifestacjach



organizowanych przez środowiska narodowe. Wspomniano o tym, że nacjonaści są na wielu elitarnych kierunkach studiów i kształcą się czytając literaturę polityczną i historyczną. Jako przykład dosyć głośnego podczas fali imigrantów w 2015 roku tytułu podano „Obóz Świętych” Raspaila mocno propagowany w owym czasie w środowisku.

Najważniejszą rzeczą którą dostrzegli dyskutujący o czym przeważnie nie mówi się w mediach, czy w polskiej publicystyce liberalnej i lewicowej jest problematyka multikulturalizmu. Ten model społeczeństwa się w Europie Zachodniej i Środkowej się nie przyjął. Nie zdał egzaminu, pomijając już przyczyny tego stanu rzeczy to zwraca się uwagę na forsowanie tego systemu mimo jego kompromitacji co drastycznie zwiększyło nastroje nacjonalistyczne w Europie. Obecnie w sondażach wyborczych we Francji króluje Front Narodowy (dyskutowano o nim jako przykładzie sprzyjającej homoseksualistom i środowiskom żydowskim skrajnej prawicy), w Austrii ma szansę wygranej w grudniowej II turze przedstawiciel narodowej prawicy, Alternatywa dla Niemiec wyrosła na jedną z głównych sił politycznych w Niemczech, w USA zwyciężył wybory Trump będący pewnym symbolem populistycznej prawicy łamiącej poprawność polityczną. Dyskutujący zastanawiali się, czy po prostu nie jest to naturalny w historii odruch pokoleniowy, gdy pod koniec lat 60-tych lewicowa młodzież zatrzęsa konserwatywnym i tradycyjnym fundamentem społeczeństw, tak teraz ma miejsce coś dokładnie odwrotnego. Wśród publiczności pojawiły się też dwa ważne głosy. Jeden skrytykował całą dyskusję za utożsamianie nacjonalizmu z szowinizmem, oraz zauważył, że nacjonalizm posiada też wiele pozytywów. Przywołał też przykład Izraela jako państwa nacjonalistycznego, czym w pewien sposób zaszachował prowadzących dyskusję, którzy próbowali zmienić temat tłumacząc się nieznaną tematyki żydowskiego nacjonalizmu. Drugi głos przedstawiający się jako osoba przyjaźniąca się z narodowcami stwierdził, że nie można dziś w Polsce mówić o nacjonalizmie, bowiem to co istnieje jest jedynie wydmuszką tej ideologii. Sami narodowcy nie wiedzą czego chcą, nie posiadają żadnej alternatywy i rozwiązań ustrojowych, ani nawet ideologii. Traktują nacjonalizm jako hobby. Co by nie napisać to jest to smutną prawdą dotyczącą ogromnej części szeroko pojętego środowiska nacjonalistów w Polsce, o czym zresztą zdarzało mi się wspomnieć w moich poprzednich tekstach.

Podsumowując spotkanie w Muzeum Żydów Polskich będące dyskusją naukową miało o wiele wyższy poziom, niż narracja dotycząca środowiska nacjonalistycznego w sieci, czy w prasie lewicowej i liberalnej. Mimo oczywistości, że środowiska organizujące takie konferencje będą w stosunku do nacjonalizmu uprzedzone to nadal w wielu aspektach kierują się stereotypami, bądź obrazem kreowanym przez osoby nazywane w środowisku „gimbopatriotami”, których w szeroko pojętym ruchu narodowym jest niestety dużo i z braku poważnego podejścia do formacji ideowej to zjawisko nie będzie ograniczone jeszcze długo. Tego typu wydarzenia miałyby o wiele wyższy poziom, gdy do dyskusji na temat nacjonalizmu będzie się zapraszać właśnie nacjonalistów co jest

bardzo rzadkie. Nawet w ostatnim czasie miała miejsce konferencja na Uniwersytecie Warszawskim zatytułowana: „Dlaczego nacjonalizm jest zagrożeniem dla pokoju”, następnie gadające głowy miały się ze sobą zgadzać jakim to zagrożeniem jest straszliwym. Inną kwestią jest, że gdyby środowiska organizujące tego typu wydarzenia miały na tyle siły, by wgłębić się w publicystykę i publikacje nacjonalistyczne co nie jest trudne czego przykładem jest „SZTURM”, dostępny dla wszystkich w sieci to obraz nacjonalisty na pewno przybrałby inny kształt, niż ten stereotypowy przedstawiany w dyskursie tych środowisk.

## **Dr Tomislav Sunić - „Intelektualny terroryzm przeciw wolności słowa”**

Współczesną „policję myśli” trudno namierzyć, jako że często szuka ona przykrycia w postaci kojących słów, jak „demokracja” oraz „prawa człowieka”. Chociaż każde państwo członkowskie UE uwielbia chętnie się swoją konstytucyjnością, rzadko które podejmuje się debaty na temat niejasności w jego kodeksie karnym. W ostatnim roku, w czerwcu i listopadzie Komisja Europejska przeprowadziła bardzo słabo nagłośnione mityngi w Brukseli i Strasburgu, których historyczne znaczenie dla przyszłego stanu wolności wypowiedzi mogłoby przyćmić swą wagą nawet wprowadzenie waluty euro.

Dyskutowane jest wprowadzenie nowych regulacji, które miałyby zwalczyć rosnącą podejrzliwość społeczeństw względem funkcjonalności Unii Europejskiej jako tworu zamieszkałego przez wiele ras. Podążając za wydarzeniami takimi jak 11 września oraz w obliczu zawołanych antyizraelskich komentarzy w części amerykańskiej oraz europejskiej prasy, pragnieniem KE jest kontrolować ewentualne szkody poprzez kontrolowanie procesu myślowego. Jeżeli nowe prawo, zafundowane nam przez KE w odniesieniu do „zbrodni z nienawiści” przejdzie przez Parlament Europejski, to sądownictwo każdego z państw członkowskich, w którym dokonano „werbalnego ataku” nie będzie już dłużej nosiło znamion władnej instytucji. Procedury prawne oraz „właściwe” ukaranie będą należeć do ponadnarodowych sądów Unii Europejskiej. Jeżeli proponowane zmiany przyjęte zostaną przez Radę Ministrów UE staną się one obowiązującym prawem we wszystkich państwach członkowskich UE; od Grecji po Belgię, od Danii po Portugalię. Zgodnie z niejasną definicją słownictwa „zbrodni nienawiści”, „podsycania do nienawiści rasowej”, każdy skazany za tak chorobliwie określone przewiny w kraju „A” przynależnym do Unii, będzie mógł zostać ukarany grzywną lub uwięziony w kraju członkowskim „B”.

W rzeczywistości tak się już dzieje. Gdyby spojrzeć przez lupę, to proklamowanie tego nowego unijnego prawa wydaje się być bardzo podobne do zmian stosowanych w kodeksie karnym martwego już ZSRR. Przykładowo, komunistyczne sądownictwo obecnie zdemontowanej już Jugosławii przez całe dekady posiłkowało się podobnym meta-językiem prawnym, jak chociażby w paragrafie mówiącym o „wrogiej propagandzie” Kodeksu Karnego, art. 133. Owa semantyczna abstrakcja pasowała idealnie do każdego podejrzanego – nieważne, czy był on odpowiedzialny za fizyczne ataki na państwowość komunistyczną, czy tylko opowiedział publicznie dowcip o komunizmie.

Na chwilę obecną Wielka Brytania cieszy się najwyższym poziomem swobód obywatelskich w Europie; Niemcy najniższym. Parlament brytyjski ostatnio obalił podobną propozycję dot. „przestępstw nienawiści” sponsorowaną przez rozmaite grupy nacisku. Jednakże rozliczne przypadki napastowania osób w podeszłym wieku i o brytyjskim pochodzeniu w angielskich

miastach przez obce, zazwyczaj azjatyckie gangi, albo unikają jakiegokolwiek nagłośnienia albo nie podążają za nimi żadne kroki prawne. Kiedy obcy podejrzany, oskarżony o przestępstwo kryminalne staje przed sądem, zazwyczaj orzeka swoją niewinność lub deklaruje się „ofiara rasowych uprzedzeń” w obliczu często wystraszonych, bezradnych sędziów. A zatem niezależnie od relatywnych swobód w Zjednoczonym Królestwie, istnieje tam pewien poziom de facto auto-cenzury. Proponowana przez UE regulacja zamieni de facto w de iure. Mogłoby jeszcze wzmóc rasową przemoc, biorąc pod uwagę iż potencjalne ofiary obawiałyby się mówić o własnej krzywdzie ze strachu przed ukaraniem za „mowę nienawiści”.

Od 1994 roku, Niemcy, Kanada i Australia wzmacniały swoje prawa wymierzone w niepokorne światopoglądy, zwłaszcza przeciw rewizjonistom i nacjonalistom. Kilkuset obywateli Niemiec, w tym pewien odsetek wysokiej klasy naukowców, zostało oskarżonych o podżeganie do nienawiści rasowej bądź negowanie Holokaustu, na podstawie przedziwnego neologizmu prawnego w postaci Artykułu 130 („Volksverhetzung”) z niemieckiego Kodeksu Karnego. Na podstawie tej ubogo opisaney a jednocześnie nadrzędnej konstrukcji prawnej można z łatwością postawić jakiegokolwiek dziennikarza bądź profesora w stan oskarżenia, jeżeli odważy się on/ona zaprzeczyć annałom nowożytnej historii lub jeśli wyrazi choćby krytycyzm odnośnie wzrastającej liczby pozaeuropejskich imigrantów.

W Niemczech, w przeciwieństwie do Anglii i Ameryki, istnieje długowieczna tradycja prawna, głosząca iż wszystko co nie zostało wyraźnie dozwolone, jest zakazane. W krajach anglosaskich praktyka prawna zakłada coś zgoła odwrotnego. To może być powód, dla którego Niemcy przyjęły tak łykowate prawa zakazujące domniemanego bądź rzeczywistego negowania Holokaustu. W grudniu zeszłego roku, amerykański historyk żydowskiego pochodzenia Norman Finkelstein, podczas swej wizyty w Niemczech, zaapelował do niemieckiej klasy politycznej, aby przestała odgrywać rolę ofiary grup nacisku nazywanych przez niego „przedsiębiorstwem holokaustu”. Zauważył przy tym, że tak bezwzględne usposobienie Niemców tylko prowokuje skrywany antysemityzm. Jak można było się spodziewać, nikt nie zareagował na apel Finkelsteina, ze strachu przed łątką antysemity. Zamiast tego niemiecki rząd dzięki swoim podatnikom zgodził się w zeszłym roku zapłacić kolejne 5 miliardów euro na rzecz ok. 800 000 osób ocalałych z Holokaustu. Ta cisza to cena za intelektualną cenzurę, obecną w demokracjach. Gdy dyskusje na niektóre tematy są zakazane, klimat frustracji potęgowany pojedynczymi aktami terroryzmu wciąż narasta. Czy jakikolwiek zachodni kraj, który zabrania swobodnie wypowiadać rozmaite poglądy – niezależnie od tego, jak zwariowane mogłyby być – może nazywać się demokracją?

Chociaż Ameryka chełpi się swoją Pierwszą Poprawką, to wolność słowa na uczelniach wyższych i w mediach poddawana jest dydaktycznej auto-cenzurze. Wyrażanie politycznie niepoprawnych opinii może zrujnować kariery lub naruszyć status tych, którzy wystarczająco naiwnie wierzą w

swoje prawa i ufają Pierwszej Poprawce. To narastająca praktyka pośród uważanych profesorów w USA, przyznawać swoim studentom będącym przedstawicielami mniejszości rasowych pozytywne oceny, aby tylko uniknąć problemów w swoim gronie (to w najlepszym przypadku) lub uniknąć wyrzucenia z uczelni (to w przypadku najgorszym).

W podobnym tonie, zgodnie z prawem Fabiusa-Gayssota, zaproponowanym przez francuskiego posła-komunistę i przyjętym w 1990 roku, osoba wyrażająca publicznie wątpliwości co do nowożytnej dogmatyki o antyfaszystowskich ofiarach ryzykuje poważną grzywną lub uwięzieniem. Spora liczba pisarzy i dziennikarzy z Francji i Niemiec popełniła samobójstwo, utraciła swe stanowiska lub zmuszona była prosić o polityczny azyl w Syrii, Szwecji czy Ameryce.

Podobne środki represyjne zostały niedawno wprowadzone w multikulturowej Australii, Kanadzie oraz Belgii. Wielu polityków nacjonalistycznych ze wschodniej Europy, zwłaszcza Chorwatów, pragnących odwiedzić swoich rodaków w Kanadzie lub Australii, nie może uzyskać wiz do tych krajów z powodu ich rzekomo ekstremistycznych poglądów. Na chwilę obecną Rosja oraz inne kraje postkomunistyczne nie są poddawane tak restrykcyjnej kontroli myśli, jaka istnieje w USA czy UE. A jednak w obliczu wzrastającej presji z Brukseli i Waszyngtonu, to może się zmienić.

Przeciwie do rozpowszechnionych przekonań, terror państwowy (totalitaryzm) jest nie tylko produktem brutalnej ideologii wyznawanej przez grupkę bandytów. Strach obywatelski, samozaparcie się oraz intelektualna rezygnacja tworzą idealny grunt dla totalitarnych pokus.

Intelektualny terroryzm napędzany jest popularnym poglądem, że w jakiś sposób sprawy same się ułożą. Narastająca apatia społeczna oraz coraz silniejsza auto-cenzura akademicka tylko wzmacniają ducha totalitaryzmu. Zasadniczo duchem totalitaryzmu jest brak jakiegokolwiek ducha.

## **Tomasz Kosiński - „Szlezwik – Holsztyn w cieniu bomb – szkice z dziejów Landvolkbewegung”**

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej rolnicy Republiki Weimarskiej znajdowali się w bardzo ciężkiej sytuacji. Wprowadzenie „marki rentowej” w 1923 roku w celu zahamowania hiperinflacji nie przyniosło dostatecznego rozwiązania. W latach 20. XX wieku rolnicy weimarscy stanęli przed poważnym dylematem. Wziąć kredyt, aby inwestować w nowe technologie upraw i hodowli, maksymalizować produkcję, czy próbować przeczekać niekorzystną sytuację gospodarczą. Ostatecznie większość pożyczyla duże sumy pieniędzy na niekorzystnych warunkach, aby unowocześnić gospodarstwa. W 1927 roku nikt nie spodziewał się kryzysu i spadku wartości pieniądza. Co więcej w tym samym roku pojawił się nieurodzaj, jakiego nie było od lat. Sytuacją najpoważniej byli wystraszeni rolnicy w Szlezwiku-Holsztynie. Regionie słynącym z hodowli bydła. Rolnicy nie byli w stanie spłacić rat kredytów, ani odsetek od nich. Nie wspominając o zapłaceniu podatków. Postanowili zorganizować się w ruch społeczny, ponieważ tradycyjne związki rolnicze nie reprezentowały ich interesów. W styczniu 1928 roku doszło do masowych protestów, w których udział wzięło około 100 tysięcy rolników. Zwrócili się do rządu o pomoc w celu rozwiązania problemu. Bezskutecznie. W związku z tym doszło do radykalizacji ruchu i zmian na szczeblu kierowniczym. Zwolenników pomocy rządowej, zaczęli zastępować ludzie żądający zniszczenia znieawidzonego Weimaru. Na czele ruchu stanął charyzmatyczny Claus Heim.

Zreorganizowano ruch, zdobyto środki finansowe, wydawano prasę organizacji Das Landvolk redagowany przez Bruna von Salomona (brat znanego pisarza Ernsta von Salomona). Ruch przybrał formę organizacyjną, której nie posiadał do tej pory. Został powołany oddział paramilitarny Wachvereinigungen. Symbolem ruchu stała się czarna flaga z umieszczonym na niej czerwonym mieczem oraz białym pługiem. Została zaprojektowana przez Petera Petersena. Miała nawiązywać do tzw. „wojen chłopskich” w feudalnych Niemczech oraz symbolizować determinację chłopów do walki o ziemię. Organizację cechował silny antykapitalizm, spółdzielczość oraz nacjonalizm. W 1928 roku Claus Heim nawoływał do biernego oporu w postaci m.in. niepłacenia podatków, czy rat kredytów. Wierzyciele, którzy zjawiali się, aby odebrać swoją należność spotykali się ze zbrojnym oporem. W niedługim czasie dołączono do tego akty sabotażu oraz działania o charakterze terrorystycznym.

19 listopada 1928 roku w Beidenfleth (Szlezwik – Holsztyn) dwóch urzędników zjawilo się, aby przejąć woły należące do jednego z rolników. Natrafili na opór 200 uzbrojonych chłopów. Po wezwaniu policji doszło do starć, w których 55 osób zostało aresztowanych. Ostatecznie skonfiskowane woły zostały odkupione przez społeczność chłopską. Na przełomie 1928 i 1929 roku

doszło do rozłamu w ruchu ludowym. Część działaczy postanowiła odejść od przemocy, natomiast pozostała (skupiająca w swych szeregach m.in. byłych członków Freikorps) postanowiła chwycić za broń.

6 kwietnia 1929 roku w niewielkiej miejscowości Wesselburen kilku członków

Landvolkbewegung obrzucało granatami dwa gospodarstwa rolne, których właściciele występowali przeciwko ruchowi. 6 września tego samego roku dokonano zamachów bombowych na budynki należące do Landratów oraz urzędy skarbowe m.in. w Szlezwiku, Niebüll i Lüneburg. Podłożono również ładunki w prywatnych domach urzędników. Po tych działaniach wielu przywódców Landvolkbewegung na czele z Clausem Heimem zostało aresztowanych.

Proces toczył się w dniach 26 sierpnia – 31 października 1930 roku. Heim był sądzony wraz z 13 towarzyszami. Według relacji nie chciał współpracować z władzą, odmawiał jakichkolwiek zeznań. Ernst von Salomon pisał: Siedział w celi bez ruchu. Nie poszedł na spacer, jadł tylko suchy chleb, był dla nich wzorem przeciwnika systemu, nie rozmawiał z jego przedstawicielami, byli dla niego jak powietrze... Został skazany na 7 lat więzienia. Warto zauważyć, że działania

Landvolkbewegung były potępiane przez rosnącą w siłę NSDAP. W obronie ludowców stanął Czarny Front Otto Strassera wraz ze swoimi zwolennikami (m.in. gauleiterami NSDAP np. Otto Teschlaw gauleiter Hanoweru). Organy prasowe Frontu poświęcały wiele uwagi sprawie procesu. W 1931 roku przedstawiciele NSDAP próbowali pozyskać Heima. Oferowali mu miejsce na liście wyborczej obiecując, iż w razie dostania się do Reichstagu wyjdzie na wolność. Odpowiedź, której udzielił werbującemu go nazistom była krótka: Wolę iść do więzienia niż dla Ciebie do Reichstagu! W 1932 roku powołano komitet mający na celu uwolnienie przywódcy Landvolkbewegung, w jego działalność zaangażowali się m.in. Ernst Niekisch, Ernst Junger, Otto Strasser, Walther Stennes (dowódca SA). We wrześniu tego samego roku Heim wyszedł na wolność dzięki amnestii ogłoszonej przez Landtag. Postanowił wskrzesić ruch. Bez efektu. Ostatecznie Claus Heim zrezygnował z działalności politycznej, co więcej po dojściu nazistów do władzy trafił na listę osób „niewygodnych”. Od 1939 roku przebywał w areszcie domowym. Po II wojnie światowej wycofał się z jakiegokolwiek działalności publicznej. Zmarł 1 stycznia 1968 roku.

Landvolkbewegung był ruchem ludowym powstałym w celu zjednoczenia chłopów, którzy znaleźli się w tragicznym położeniu w związku z Wielkim Kryzysem Gospodarczym. Początkowo miał charakter pokojowy, jednak zignorowanie postulatów przez władze doprowadziły do skrajnej radykalizacji. Wraz z aresztowaniem liderów działalność organizacji zakończyła się. Mimo wsparcia ze strony Czarnego Frontu i narodowych bolszewików bez wsparcia finansowego Landvolkbewegung skazany był na upadek. Wielu działaczy zasiliło szeregi NSDAP, lider Claus Heim do końca pozostał przeciwnikiem Hitlera.



Działalność ruchu stała się inspiracją dla powieści Ernsta von Salomona *Die Stadt* oraz Hansa Falladasa *Bauen, Bonzen und Bomben*.

## **Grzegorz Ćwik - „Narodowy anarchizm”**

Pośród rozlicznych nurtów i idei bazujących na możliwie szeroko rozumianym nacjonalizmie, znaleźć można często idee wykraczające (teoretycznie lub też i praktycznie) poza „czysty”, w sensie ideowym narodowy radykalizm. Mam tu przede wszystkim na myśli swoiste łączenie myślenia w kategoriach narodowych z koncepcjami stojącymi w niejkiej opozycji do niego, to jest opierające się na innej gradacji wartości – jak socjalizm, komunizm czy anarchizm. Ostatni spośród wymienionych na polskim gruncie obecnie praktycznie nie funkcjonuje. Żadna organizacja *de facto* nie odwołuje się do tej idei, poza dosłownie paroma blogami (z bardzo nieregularnymi aktualizacjami) myśl ta w polskim nacjonalizmie nie funkcjonuje. Nie jest celem niniejszego tekstu analiza powodów tego stanu rzeczy. Postaram się znaleźć odpowiedzi na inne pytania. Mianowicie czy narodowy anarchizm może stanowić inspirację dla polskiego nacjonalizmu, jakie jego elementy mogą być użyteczne i możliwe do implementacji w państwie nacjonalistycznym, oraz które aspekty wydają się być utopijne czy wręcz niebezpieczne.

Narodowy anarchizm – co to jest?

Rozważania wypada zacząć od samej definicji narodowego anarchizmu, choćby z faktu, iż jest to niezwykle efemeryczna i niszowa idea. Ponadto chciałbym uniknąć ewentualnych nieporozumień i zapowiedzieć co bardziej „twardogłowych” nacjonalistów (przynajmniej do momentu, aż przeczytają tekst). Na potrzeby niniejszego tekstu uważam, że spokojnie możemy uznać wikipedyczną definicję, która definiuje narodowy anarchizm jako idee, która optuje za:

„[...] likwidacją państwa i ustroju kapitalistycznego. W zamian proponują wprowadzenie hierarchicznych komun z gospodarką opartą na dystrybucjonizmie. Anarchonacjoniści opowiadają się także za segregacją rasową. Często z tego powodu uważa się narodowy anarchizm za odmianę faszystów, jednak sami anarchonacjoniści odrzucają faszyzm z powodu jego etatyizmu”.

Kilka niezbędnych słów uzupełnień. W wielu kwestiach anarchonacjoniści nawiązują do idei „czystego” anarchizmu, wśród których wymieniałbym:

Traktowane państwa i jego agend oraz instytucji jako wroga *per se*

Poparcie dla idei demokracji uczestniczącej (najpełniej przedstawionej w książce „Bez państwa” Rafała Górskiego)

Posługiwanie się kategoriami klasowymi w dyskusji o kwestiach społeczno-ekonomicznych

Wrogość wobec mediów, polityków, partii i całego tradycyjnego systemu demoliberalnego opartego o parlamentaryzm

Generalnie większość opowiada się za kolektywnymi, lewicowymi rozwiązaniami w tychże aspektach (całkowicie umyślnie pomijam anarchonacjonalistów zbliżających się do idei wolnorynkowych i anarchokapitalistycznych)

Mamy więc do czynienia z ideą zarówno niezwykle radykalną i rewolucyjną, jak i trudną do zaklasyfikowania. Narodowy anarchizm czy może Anarchistyczny nacjonalizm? Nie ma co przeczyć prostemu faktowi, że zarówno w teorii jak i praktyce postulaty narodowego anarchizmu są mniej lub bardziej sprzeczne. Nie chodzi nawet o ten czy inny postulat, ale o same wartości i kategorie pojęciowe, jakimi się ten nurt posługuje. Naród czy anarchia? To pytanie w tym wypadku jest nie tylko istotne, ale i ciężkie do odpowiedzi.

Nie determinuje to jednak tego, czy sama idea stanowić może wartościowy wkład w rozwój rodzimej myśli narodowej. Zacznijmy od głównego trzonu myśli anarchonacjonalistycznej, czyli od państwa.

Państwo – Twój wróg!

Każdy człowiek w myśl narodowego anarchizmu (jak i zwykłego) powinien być wolny. Wolność zaś jest zagarniana, ograniczana i permanentnie łamana przede wszystkim przez instytucję państwa. To fundamentalna różnica w pojmowaniu tego aspektu w stosunku do większości nacjonalistów. Zazwyczaj przyjmuje się bowiem w naszym środowisku, że państwo rządzone jest obecnie przez skorumpowanych, zaprzędanych polityków popieranych przez takie same media czy służby, ale sytuacja ta może się zmienić. Wystarczy, że do władzy dojdą ideowi, niezwiązani ze „starymi układami” ludzie, a wszelkie kwestie (geopolityczne, gospodarcze) jak za dotknięciem magicznej różdżki zaczną wykazywać tendencję zwykłą. Narodowy anarchizm stwierdza co innego – państwo jest systemem opresyjnym na wielu płaszczyznach: podatkowym, urzędowym, edukacyjnym, militarnym, karnym itp. Ale opresyjność wynika nie z systemu czy partii, jakie w danej chwili obowiązują. Wynika to z samej definicji państwa, która wiąże się z oczywistym takim wypadku podziałem na rządzących i rządzonych. Tak długo jak państwo będzie istnieć, niezależnie od tego przez kogo i jak rządzone, tak długo Naród nie może być wolnym. W takim ujęciu bowiem wolny Naród to zbiór wolnych jednostek. Nie zmieni tego dojście do władzy „naszych ludzi” (abstrahując już całkowicie od tego kim mieliby oni być), bo przyjmując rolę rządzących z całym dobrodziejstwem inwentarza (policja, prokuratura, sądy, służby etc.) automatycznie sami staną się elementem opresji wobec Narodu.

Co w zamian? Wolne komuny, czyli dobrowolne związki o charakterze terytorialnym. Oparte na tradycyjnych wartościach (w ujęciu moralnym), dystrybucjonizmie w kwestiach ekonomicznych i hierarchicznej strukturze społecznej. Co do wielkości takich lokalnych społeczności spotkałem się już z najróżniejszymi pomysłami co do ich wielkości – od kilku osiedli mieszkaniowych do całych hrabstw, landów czy województw.

Zaczynając od końca – sama idea tego co powinno zastąpić państwo wykazuje spore sprzeczności. Bo jak połączyć hierarchiczność komuny z likwidacją dychotomii „rządzący-rządzeni”? Hierarchia oznacza, że ktoś musi stać na jej szczycie, czyli być tak czy inaczej rozumianym przywódcą. Ponadto co jeśli taki związek nie zechce oprzeć się na zasadach dystrybucjonizmu, lub część jego członków nie wykaże „dobrowolnych” chęci bycia członkiem kolektywu? Niestety, jak w wypadku głównonurtowego anarchizmu, takie pytania zostają bez odpowiedzi. Czy to jednak znaczy, że samo uznanie państwa za wroga jest do odrzucenia?

Moim zdaniem zdecydowanie nie. Przekrojowe spojrzenie na Polskę po roku 1945 wykazuje jednoznacznie, że państwo nasze w sposób konsekwentny i systematyczny stanowi treść jak i formę działań sprzecznych z szeroko pojmowanym rozwojem Narodu. Czy to komuniści, czy liberałowie (zarówno post-komuniści jak i solidarnościowcy) za pomocą państwa realizowali swoje doraźne cele, kosztem rządzonych przez siebie mas. Kolejne partie, koalicje i rządy, choć różniące się w szczegółach, reprezentowały i reprezentują ten sam, oligarchiczny i antynarodowy element. Wyzysk i opresja realizowane są i objawiają się na różnych płaszczyznach: korupcja, niesprawiedliwy system podatków, bardzo niski standard edukacji i służby zdrowia, źle działające sądy, niewydolne urzędy, niskie płace, łamanie praw pracowniczych. Fundamentalnym elementem analizy tej sytuacji, a jest ona permanentną, jaki proponuje nam narodowy anarchizm, to fakt, że taki stan rzeczy wynika właśnie z samej definicji państwa. Siłą rzeczy ludzie stojący u władzy, lub mający z nią daleko posunięte kontakty, dzięki wykorzystaniu struktur i instytucji państwowych, mogą utrzymywać i umacniać swoją pozycję. Pod względem oceny moralnej człowieka jako gatunku dość to pesymistyczna analiza, nie o tym jednak traktuje ten tekst. Dla nas wystarcza konstatacja, że faktycznie można w sposób obiektywny stwierdzić, iż państwo per se stanowi zarówno formę, jak i treść układu, który od kilkadziesiąt lat ogranicza zdrowy i prawidłowy rozwój Narodu. Niezmiennie od tego, kto w danej chwili rządzi, wygrywa kolejne wybory – państwo na obecną chwilę, w swym funkcjonowaniu niezależne od woli Narodu, stanowi element nam wrogi.

Bez państwa?

Anarchonacjonałisci (jak i przede wszystkim „zwykli” anarchiści) z powyższego stwierdzenia wychodzą prosto do wniosku o konieczności likwidacji instytucji państwa jako takiego. Jak wiadomo to niezwykle utopijny postulat, by nie rzecz całkowicie nierealny do zrealizowania (na

obecną chwilę). Oczywiście, najważniejszym elementem oceny jakiegokolwiek postulatu dotyczącego kwestii ustrojowej (i szerzej – politycznej) jest ocena wpieryw jego zasadności i korzyści dla Narodu, a dopiero potem kwestia osądzenia jak długo potrwa jego realizacja. Dla nas w tym wypadku istotnym elementem jest proponowana alternatywa, a najważniejszym pytaniami:

Czy państwo można „odbić”, przejąć tak by realizowało konsekwentną i systematyczną politykę narodową?

Czy państwo jako takie jest formą, która powinna trwać?

Co do tego, co miałyby zastąpić państwo, to cały nurt anarchizmu, tak przecież radykalny, proponuje pomysł niezwykle mglisty i trudny do uchwycenia. Wolny kolektyw, kooperacja, lokalna społeczność – to bardzo ładnie brzmi, jednak w gruncie rzeczy nie mówi kompletnie nic. Na jakich zasadach taka kooperatywa miałaby funkcjonować, jakie i przez kogo ustanowione prawo miałoby tam funkcjonować, kto i w jaki sposób pełniłby publiczne urzędy. Tu najbliższym sensownego i kompletnego programu był chyba Rafał Górski w bardzo wartościowej (choć pisanej z nie-nacjonalistycznego punktu widzenia) książce „Bez państwa” (szerzej do jego koncepcji nawiążę niżej). Większość jednak anarchonacjonalistów zadowala się sloganami i powierzchownymi twierdzeniami, na zasadzie „jakoś to będzie”, „rewolucja zwycięży” etc. Twarde trzymanie się koncepcji o konieczności likwidacji państwa jest tu niejako aksjomatem, ale czy słusznie?

Po pierwsze pamiętać trzeba, że w nacjonalistycznej doktrynie i praktyce państwo to swoista emanacja Narodu oraz Jego najpełniejsze upodmiotowienie. Rozwój Narodu na wszelkich płaszczyznach (ekonomicznej, społecznej, międzynarodowej) najpełniej może być realizowany właśnie w ramach organizmu państwowego. Oczywiście, samo państwo opierać powinno się o wartości narodowe, a to możliwe będzie dopiero gdy obecny system parlamentarno-oligarchiczny z wszechwładnym kapitalizmem zostanie obalony. Ponadto pamiętać warto, iż sama tożsamość narodowa mogłaby zostać poważnie zagrożona, gdyby ludzie tworzący jeden Naród nagle zaczęli żyć w odrębnych formach organizacyjnych i terytorialnych. Starczy wspomnieć jak ogromne (nieprzezwyciężone całkowicie do dziś) podziały występowały między Polakami z różnych zaborów po odzyskaniu Niepodległości.

Rzeczą najbardziej zadziwiającą w rozumowaniu anarchonacjonalistów jest swoisty dysonans między wykazaniem (skądinąd bardzo słusznym) elementów wrogich Narodowi a jednoczesnym proponowaniem rozwiązania (likwidacja państwa), które dla tych wrogich struktur jest wprost wymarzone.

Po pierwsze spojrzeć musimy na nasze położenie geopolityczne i sytuację międzynarodową. Trywialnym zdaje się stwierdzenie, że Polska znajduje się na styku interesów dwóch

imperializmów: rosyjskiego i niemieckiego (zwanego dla niepoznaki „europejskim”). Ponadto pamiętać trzeba o bezustannym wpływie polityki amerykańskiej. Żaden z tych czynników nie może być uznany za korzystny dla nas, gdyż z założenia Berlin, Moskwa i Waszyngton dążą (skutecznie niestety) do wasalizacji Polski i podporządkowania jej polityki swoim interesom. Jeśli więc 40-milionowe państwo ma obecnie (głównie dzięki skorumpowanym elitom) tak duży problem z ochroną swojej suwerenności, to cóż powiedzieć o sytuacji gdy zamiast Polski istniałoby kilka czy kilkanaście struktur o dużo mniejszej ludności, powierzchni i sile. Rozgrywanie takich „wolnych komun” między sobą byłoby dla Rosji czy Stanów Zjednoczonych niezwykle prostym zadaniem. W kontekście zaś pojawiających się głosów separatystycznych (głównie na Śląsku), rozbitej Polski na szereg pomniejszych organizmów, dla wielu krajów (Niemcy, Czechy) jawi się wprost jako wymarzone rozwiązanie.

Podobnie sytuacja wygląda z elementem polityki równie szkodliwym, tzn. z wpływem zachodniego kapitału, głównie banków, wielkich korporacji i grup wpływu. Mówimy tu o strukturach dysponujących często funduszami wielokrotnie większymi niż obecny budżet Polski. Do tego zachodnie elity finansowe ściśle współpracują z rządami swoich krajów przy realizacji długofalowych działań w naszej części Europy, a te zazwyczaj są dla nas niekorzystne. Drenaż polskiego pieniądza, monopol rynkowy, upadek rodzimego przemysłu, ogromna emigracja zarobkowa – to najważniejsze ze skutków działań zachodnich koncernów i banków. Aby postawić tamę temu szukać trzeba rozwiązań ponadpaństwowych, przede wszystkim w ramach projektu Międzymorza. Utopijny projekt likwidacji państwa i jego struktur ogromnie ułatwiłby zachodniemu kapitałowi wyzysk polskiego Narodu, z przyczyn identycznych jakie wymieniłem w poprzednim akapicie. Tylko bowiem silne i sprawnie oraz odpowiedzialnie zarządzane państwo może ochronić Polaków przed całym szeregiem negatywnych skutków działań zagranicznych kapitalistów na polskim gruncie.

Kwestią, która w utopijnych rozważaniach wszelkiej maści anarchistów nie istnieje, jest sam proces likwidacji struktur państwowych. Pomijając już na jakiej drodze miałyby to się stać (rewolucja, referendum, reformy po wygraniu wyborów?...), pozostaje kwestia „masy upadłościowej”. Państwo bowiem to między innymi ogromna rzesza urzędników i ludzi zatrudnianych w szeroko rozumianej budżetówce. Bardzo często są to osoby pracujące w tym segmencie od wielu lat. Likwidacja państwa oznacza bowiem, że zasadnicza większość tych ludzi straci pracę, jak również będzie miało ogromny problem ze znalezieniem nowego zatrudnienia. O ile jeszcze nauczyciele, lekarze i inni przedstawiciele podobnych profesji najpewniej zachowaliby swoje posady (co też nie jest pewne), to co z ludźmi pracującymi w urzędach, ministerstwach, wszelkich strukturach ogólnopaństwowych? Co z Wojskiem Polskim i żołnierzami (a mówimy tu o grupie ponad 100

tysięcy ludzi)? W tym kontekście realizacja postulatu anarchonacjonalistów jawi się jako permanentna pauperyzacja sporej części społeczeństwa.

Takich praktycznych problemów związanych z przekształceniem państwa w szereg mniejszych organizmów z pewnością wystąpiłoby dużo więcej – kwestia waluty, systemu podatkowego, stosunku do organizacji międzynarodowych, sytuacji dyplomatycznej, etc. Można śmiało uznać, że praktyczna realizacja tego najważniejszego postulatu narodowego anarchizmu doprowadziłaby do ogromnego uszczerbku na wielu płaszczyznach funkcjonowania Narodu, jak również ułatwiłaby działanie elementów *ex definitione* wrogich interesom Polski i Polaków.

Państwo jest (będzie) nasze

Czy powyższe rozważania oznaczają, że Narodowy Anarchizm należy a priori odrzucić jako nieprzydatny prąd w nacjonalizmie? Moim zdaniem absolutnie nie. Po pierwsze jak widzimy, narodowy anarchizm bardzo trafnie wykazuje jakie są zagrożenia dla prawidłowego, zdrowego funkcjonowania Narodu:

Skorumpowane elity kontrolujące państwo

Wszechwładza urzędników, polityków, aparatu represji (policja, wymiar sprawiedliwości)

Brak faktycznego wpływu ludzi na politykę państwa i jego funkcjonowanie

Imperializmy (zarówno wschodnie jak i zachodnie), których dążenia są zagrożeniem dla Polaków

Jeśli odrzucimy jednak błędną koncepcję zakładającą brak państwa, to co nam pozostaje w kontekście koncepcji anarchonacjonalizmu? Otóż, wbrew pozorom, jest kilka bardzo wartościowych koncepcji, które moim zdaniem na stałe powinny zagościć w naszym postrzeganiu nowoczesnego nacjonalizmu.

Poniższe spostrzeżenia i koncepcje zakładają generalnie sytuację, w której nacjonałiści sprawują władzę, lub przynajmniej mają ogromny wpływ na jego politykę. Nie jest moim zadaniem rozważyć na jakiej drodze mogłoby do tego dojść (to temat na osobny artykuł albo i kilka artykułów), jednak jak się wydaje możliwe jest to na drodze parlamentarnej lub też poprzez tworzenie alternatywnych struktur społecznych i organizacyjnych (uznajmy je za konkurencyjne dla obecnych struktur państwa). To drugie wiąże się bezpośrednio z koncepcjami anarchonacjonalizmu i były oraz są nadal realizowane gł. w krajach Ameryki Południowej (Meksyk, Argentyna). Także w ramach takiego rozwiązania realizowane były praktycznie koncepcje, które uważam za wartościowe, jak choćby demokracja uczestnicząca.

Najbardziej wartościowym elementem, jak również dla nas chyba najważniejszym, jaki powinniśmy „wyciągnąć” z narodowego anarchizmu, to kwestia ustroju polityczno-społecznego.

Proponowanym przez anarchonacjonalistów rozwiązaniem (także „zwykli” anarchiści nawiązują do tego pomysłu) jest demokracja uczestnicząca. Może być to rozwiązanie faktycznie oddające instytucję państwa w ręce Narodu, oraz ułatwiające realizację interesu i celów tegoż. Generalnym założeniem demokracji uczestniczącej jest kolektywne podejmowanie decyzji dotyczących najważniejszych kwestii związanych głównie z kwestiami lokalnymi. Te wypracowywane są na drodze kilkustopniowych form prowadzenia dyskusji i rozmów na konkretne tematy – tzn. dyskusje i rozmowy realizowane są najpierw na poziomie lokalnym, następnie zaś skoordynowane i konsultowane są „wzwyż”, a więc w szerszym, ponad-lokalnym zakresie. Decyzje podejmowane są poprzez głosowania. Bardzo ważne jest funkcjonowanie elementów przedstawicielstwa – tutaj zazwyczaj pojawia zapomniana w Polsce instytucja instrukcji „wyborczych” (trafniejsza nazwa to instrukcja do głosowania czy instrukcja do reprezentacji). Najważniejsze w tych formach działania kwestie, jakie są omawiane a następnie decydowane to: podatki, budżety i ich przeznaczenie, prace budowlane, funkcjonowanie lokalnych społeczności, kontrola władzy i urzędników, pomoc społeczna i socjalna. Demokracja uczestnicząca z bardzo pozytywnym skutkiem wprowadzana była przede wszystkim w szeregu miejscowości w Brazylii, z których najsłynniejsza to Porto Allegre. System demokracji uczestniczącej funkcjonował tam przez kilkanaście lat i w pełni przyczynił się do poprawy stanu miasta w wielu aspektach: infrastruktury, budownictwa, szkolnictwa, sprawności funkcjonowania urzędów i instytucji państwowych, kontroli tychże czy w kwestii walki z korupcją i nepotyzmem. Także liczne inne przykłady wykazują, że demokracja uczestnicząca nie tylko szybko może zostać wdrożona, jak i z powodzeniem być realizowana, mimo zmieniających się fluktuacji partyjnych. Co ciekawe, we wszystkich wypadkach kiedy system ten był wprowadzany, spotykał się szybko z przeciwdziałaniem władz centralnych i próbami ograniczenia lub wręcz likwidacji tej formy przedstawicielstwa i zarządzania. Nie powinno to nas dziwić, wszakże w ten sposób ludzie nie tylko uświadamiają sobie, że sami mogą sukcesywnie i skutecznie wpływać na swoje położenie, ale także zdobywają narzędzia walki z patologiami systemu parlamentarno-oligarchicznego (czyli de facto kapitalistycznego). Przede wszystkim chodzi o kontrolę władzy czy pełną jawność działań polityków i funkcjonariuszy państwowych. Elementy gdzie nacjonałiści mogliby wykorzystać takie mechanizmy to choćby nadzór nad organami ścigania i wymiarem sprawiedliwości czy kontrola przetargów, które jak powszechnie wiadomo stanowią dla grup wpływu sposób na niezwykle proste defraudowanie naszych pieniędzy. Ponadto kolektywne współdziałanie w ramach demokracji uczestniczącej, dyskusje, poznawanie wzajemnie (szczególnie w ramach konfrontacji interesów różnych klas społecznych) służyć może rozwojowi prawdziwego społeczeństwa obywatelskiego. Temat ten zresztą wiąże się z innym zagadnieniem, czyli z edukacją, która w tym kontekście jawi się jako kwestia zasadnicza. Idzie o to, aby ludzie posiadali zarówno odpowiednią wiedzę jak i umiejętności funkcjonowania w demokracji uczestniczącej. Jako, że te 3 kwestie (kontrola władzy,



jawność władzy, edukacja) uważam za integralnie związane z pozytywnymi aspektami anarchonacjonalizmu, pozwoliłem sobie rozwinąć je poniżej.

Na sposób funkcjonowania państwa i relacje na linii aparat urzędniczy-obywatele wpływa w ogromnym stopniu to, jak społeczeństwo może kontrolować poczynania władzy. Na prawicy niestety rozpowszechnione są oczekiwania aby model ustrojowy przekształcać w kierunku bardziej scentralizowanym, a co za tym idzie bardziej opresyjnym wobec obywateli. Dość powszechna jest naiwna wiara w to, że zmiana prezydenta czy partii rządzącej na opcję uważaną za bardziej narodową (lub jak obecnie „narodową”) wystarczy do naprawy patologicznego stanu państwa polskiego. W myśl tego rozumowania wszelkie negatywne kwestie z tym związane: korupcja, nepotyzm, niekompetencja, niewydolna władza administracyjna i podatkowa czy wszelkie bezduszne i bezsensowne przepisy magicznie znikną, gdy ta czy inna partia uzyska większość w wyborach. Niestety, tak nie będzie. Wszelkie patologie wynikają przede wszystkim nie z faktu bycia u władzy konkretnej opcji politycznej (choć czasem to je potęguje), ale z uwarunkowań systemowych, prawnych i ustrojowych. Podstawowym problemem jest właśnie brak kontroli Narodu ( a więc Suwerena) nad osobami czy to sprawującymi władzę, czy to będącymi częścią administracji.

Do konkretnych postulatów zaliczyć można w tej materii:

Rozliczanie urzędników i polityków za realizację konkretnych planów, zamierzeń i obietnic.

Wprowadzenie w ramach modelu demokracji uczestniczącej instytucji wspomnianych wyżej instrukcji wyborczych czy raczej instrukcji do reprezentacji. Chodzi oczywiście o konkretne zalecenia do realizacji określonych działań i podjęcia działań w myśl uzgodnionych przez ogół obywateli decyzji.

Odpowiedzialność polityków i urzędników za podejmowane decyzje: karna i finansowa.

Możliwość podjęcia decyzji o odwołaniu osoby sprawującej publiczne funkcje w wypadku gdy jej postawa nie spełnia wymagań (brak kompetencji, uczciwości, etc.).

Sz szczególnie ważny dla nas, nacjonalistów, wydaje się postulat kontroli nad działaniami organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości, czyli elementów państwa przegniłych i upolitycznionych w stopniu wysokim. Sensownym rozwiązaniem mogłoby być tworzenie równoległych, obywatelskich struktur na wzór lokalnych grup dbających o utrzymanie bezpieczeństwa.

Oczywiście takich postulatów w ramach kontroli władzy powinno być więcej, powyższe zaś to tylko najważniejsze i najciekawsze propozycje. Dyskusja o tym jak konkretnie kontrolować władzę

przebiegać zaś powinna w myśl zasady, że zajmowanie jakiegokolwiek stanowiska publicznego bez należytej narodowej i obywatelskiej kontroli prowadzić musi do patologii i korupcji.

Elementem integralnie związanym z powyższym jest drugi wspomniany postulat anarchonacjonalistów, czyli kwestia jawności sprawowania władzy i funkcjonowania administracji. Chodzi o to, mówiąc kolokwialnie, aby szeroko rozumiane procesy ustrojowe, polityczne etc. nie funkcjonowały „za naszymi plecami” i przez to wbrew interesom Narodu, lub przynajmniej niezgodnie z nimi. Faktycznie i konsekwentnie funkcjonujące społeczeństwo obywatelskie nie kończy się na oddaniu głosu w wyborach, podobnie jak nie kończy się w ten sposób demokracja. To tylko jeden, niewielkie w gruncie rzeczy, aspekt szerszego zagadnienia. Skoro mamy wybierać i wybieramy od prawie 30 lat swoich reprezentantów, to oczywistym jest że muszą oni sprawować swoje obowiązki w sposób jawny i klarowny. Nie tylko chodzi tu o możliwość kontrolowania tego co i jak robią (patrz poprzedni akapit), ale też o możliwość aktywnego współuczestniczenia w polityce ogółu obywateli. Jeśli bowiem uznamy to za ważny postulat (ja, podobnie jak anarchonacjonalizm, tak uznaję, stąd ten paradygmat przyjmuję w całym tekście), a świadome narodowych interesów, obowiązków i praw obywatelskie społeczeństwo uznamy za swoisty ideał, to kwestia kontroli władzy i polityki staje się oczywistością. Rozliczne afery korupcyjne, przykłady nepotyzmu, popularnego „kolesiostwa” to oczywiście kwestie znane każdemu, ale co dla nas ważne – nie dotyczą one jakiejś konkretnej partii czy opcji politycznej, ale wszystkich polityków. Władza jak widać faktycznie korumpuje, a to co w myśl anarchonacjonalizmu możemy przeciwstawić temu, to powiązane ze sobą schematy kontroli i jawności władzy i ogółu aparatu państwowego.

Ostatnia kwestia jaką chciałem w ramach tego podpunktu poruszyć, to edukacja. Temat na łamach nacjonalistycznej publicystyki przewija się często, w różnych kontekstach. W kontekście demokracji uczestniczącej, jak i myśli anarchonacjonalistycznej ważne jest dla nas przede wszystkim to jak edukacja przygotowuje człowieka do funkcjonowania w narodowym społeczeństwie obywatelskim. Często bowiem, by nie rzec permanentnie, narzekamy na to jak w praktyce funkcjonuje demokracja (w wydaniu parlamentarno-kapitalistycznym), jakie ludzie podejmują wybory, jak mocno wpływają na decyzje wyborcze populizmy i marketing polityczny, jak ludzie dają sobą manipulować. Częstym zjawiskiem jest idący w parze z ignorancją i zwykłym brakiem wiedzy, swoisty fanatyzm i zacierzowanie w popieraniu konkretnej partii, osoby etc. Rzadko jednak zadajemy sobie pytanie z czego to wynika. Moim zdaniem jest to w dużej mierze efekt marnej jakości edukacji, która nie spełnia ani funkcji społecznej (nie przygotowuje do świadomego uczestniczenia w życiu Narodu), ani funkcji erudycyjnej i poznawczej (przede wszystkim nie uczy umiejętności analitycznego myślenia i krytycznego podejścia do otrzymywanych komunikatów medialnych, społecznych etc. ). Przyczyn tego jest wiele i choć daleki jestem zwykle od

pochopnego zrzucenia winy na spiskowe teorie dziejów, to nie ma co się łudzić – partiom i politykom taki stan rzeczy odpowiada. Człowiek źle wyedukowany i pozbawiony nawyków krytycyzmu i trzeźwo-rozrządkowego podejścia do rozmaitych zagadnień, to wprost wyśniony odbiorca kolejnych reportaży, artykułów, newsów a ostatnio także – memów, „internetowych prawd”, blogerów i wszelkiej maści hochsztaplerów.

Oczywiście decyzje, które warunkowane są głównie emocjami podejmujemy codziennie, na rozmaitych polach naszego życia: w pracy, w sprawach rodzinnych i wielu innych. Trudno więc oczekiwać aby w sprawach publicznych i politycznych kierować się wyłącznie rozumem, co zwłaszcza wśród nacjonalistów wydaje się trudne. Zresztą, sensowna dawka emocjonalności zdaje się być nieodzowna dla nas, choćby dla zachowania swobodnego idealizmu w myśleniu i postępowaniu. Rzecz jednak w tym, aby odpowiednio pod względem merytorycznym, kadrowym i ideowym szkolnictwo było w stanie przygotować młodego człowieka do świadomego i niezależnego od antynarodowych czynników. Zmiana stanu rzeczy w tej materii wydaje się oczywiście procesem ogromnie czasochłonnym i pracochłonnym, jednak tak w optyce anarchonacjonalistycznej jak i jakiegokolwiek innej związanej z myślą narodową, jest wprost nieodzowna.

Na koniec rozważań w tym i tak długim wywodzie chciałem wspomnieć tylko o dwóch elementach pojawiających się w myśli anarchonacjonalistów jak i zwykłych anarchistów, które zdają się wartościowe i mogłyby wnieść sporą wartość dodaną dla naszej myśli narodowej. Mam tu na myśli ideę straight edge oraz ekologii i dbałości o środowisko naturalne. Jako, że elementy te pojawiają się i w innych nurtach nacjonalizmu, tutaj tylko w paru słowach napomknę o nich.

Straight edge już od ładnych paru lat jest obecny w naszym środowisku, choćby w postaci hasła „sport, zdrowie, nacjonalizm”. Najistotniejszym elementem jest tutaj uznanie trzeźwości i bycia „czystym” za korzyści samej w sobie, a używek (gł. alkoholu i narkotyków) za czynniki osłabiające Naród z jednej strony, a ułatwiające manipulację nim z drugiej. Głównym aspektem, który się tu uwidocznia jest dbałość o swoje zdrowie, kontrolę nad swoim życiem i sprzeciw wobec narzuconych przez normy kulturowe wzorców zachowań.

Także ekologia od jakiegoś czasu jest stałym elementem dyskursu narodowego, choć nie zajmuje należytej jej pozycji. Dla nas najważniejszą konstatacją jest stwierdzenie, że środowisko naturalne nie jest czynnikiem dla Narodu zewnętrznym, ale integralnym polem, na którym ten Naród funkcjonuje. Dbałość choćby o stan czystości wód, walkę z zanieczyszczeniem powietrza, emisjami trujących gazów etc. to w gruncie rzeczy działania zwiększające kondycję Narodu i polepszające jego warunki bytowania.

## Zakończenie

Narodowy anarchizm, jak postarałem się wykazać w powyższym tekście, jest ideą która stanowić może ożywczy i konstruktywny wkład w rodzimą myśl nacjonalistyczną. Nie można oczywiście przyjmować jej w całości a priori, a krytyczna analiza z punktu widzenia nacjonalizmu każe nam odrzucić część (i to część dla niej zasadniczą) jej postulatów. Jednak nawet w takim układzie anarchonacjonalizm przedstawia dla nas realną wartość, a najważniejsze dla nas jego postulaty, które warto moim zdaniem włączyć do dyskusji o polskim nacjonalizmie to:

Demokracja uczestnicząca jako propozycja rozwiązań ustrojowych.

Narodowe społeczeństwo obywatelskie jako sposób praktycznego funkcjonowania Narodu w sprawach publicznych i występowania wobec władzy i państwa.

Kontrola władzy i aparatu państwowego

Jawność sprawowania władzy

Konieczność radykalnego poprawienia stanu edukacji

Straight edge i ekologia

Mam oczywiście świadomość, że niniejszy artykuł wyczerpuje temat Narodowego Anarchizmu w niewielkim stopniu, wiele kwestii potraktowano skrótowo, czy wręcz ograniczyłem się tylko do wspomnienia o nich. Mimo to mam nadzieję, że skłoni on czytelników do refleksji i przemyśleń nad sensownością zapożyczenia z anarchonacjonalizmu szeregu konkretnych rozwiązań.

## **Jan Kuśmierczyk - „Tragedia Germanii”**

Natura bywa zarówno wrogiem człowieka (co objawia się np. w fatalnych ostatnich czasach warunkach pogodowych), jak i jego najlepszym przyjacielem - a nawet budulcem jego potęgi, jeżeli temu uda się ją ujarzmić i korzystać z jej zasobów według własnej woli. Ale Natura to nie tylko zjawiska atmosferyczne i otaczający nas ekosystem - mam tu również na myśli wszystko to, co jest pierwotne i naturalne dla poszczególnych jednostek, jak i całych mas ludzkich. Narody również posiadają swoją naturę - i gdy zostają od niej odcięte, gdy zostają wyzute z tego, co stanowiło o ich sile i wyjątkowości, zwyczajnie umierają. Nie inaczej sytuacja wygląda w przypadku naszych zachodnich sąsiadów.

Często w naszym środowisku podejmuje się problem ogarniętego liberalnym nowotworem Zachodu - niegdyś zdobywcy i panowie świata, a dziś jakby bezbronni starcy, którzy w najlepszym wypadku mogą wspominać dawne dni chwały, chyląc się ku swej trumnie. Często wysuwane są tezy, iż Francja przy obecnej koniunkturze, zostanie krajem islamskim przed II połową XXI wieku. Słyszałem również głosy o tym, iż w najbliższym czasie Szwecja stanie się państwem Trzeciego Świata, a rodzący się najczęściej w Zjednoczonym Królestwie chłopcy o imieniu "Mohammed", już niedługo zadepczą tam anglosaskich tubylców. Być może to wszystko prawda i faktycznie jesteśmy dziś świadkami upadku Okcydentu, co wywołuje u mnie mieszane uczucia - ale nie tego ma mój tekst dotyczyć. Przy tych wszystkich narodowych tragediach, największy żal - o dziwo, gdyż nigdy nie darzyłem sympatią ludu zza Odry - budzi we mnie dramat Teutonów, którzy każdego dnia muszą obserwować postępującą zagładę swojej tożsamości i aplikowanie w jej miejsce czegoś zupełnie sprzecznego z germańską naturą. I jako, że ich przykład będzie tu najlepszy (najbardziej wyrazisty), to właśnie nim posłużę się w moim tekście.

Naród niemiecki rodził się w wojennym zamęciu wieków średnich, jego wojownicza i butna mentalność wykluwała się z chaosu, jaki ogarnął świat europejski po upadku zachodniego Rzymu. Obok podbijającej kontynent wiary chrystusowej i kierującej swój wzrok na wschód potęgi władców frankijskich, to właśnie naturalne cechy, tożsame poszczególnym ludom zamieszkującym rejon oznaczany niegdyś na rzymskich mapach jako "Magna Germania", złożyły się na spoiwo, które ukształtowało kulturę wspólną dla całego środkowo-germańskiego etnosu i pozwoliło wieki

później wyrosnąć z niej Niemcom we współczesnym rozumieniu tego słowa. O jakich cechach mowa? Przede wszystkim o tych, których my - Polacy - byliśmy w stanie doświadczać ze strony Niemców w ciągu ostatnich stuleci, a o czym pisywali już rzymscy historycy i podróżnicy. Dla przykładu, łaciński pisarz Publiusz Korneliusz Tacyt, opisywał około 98 roku n.e. niemal z zachwytem panującą w ówczesnym społeczeństwie północnych sąsiadów Rzymu, ścisłą monogamię oraz cnotliwość ogółu (zatem zdyscyplinowanie i karność ludności), co bardzo kontrastowało z szerzącym się już wówczas w jego ojczyźnie rozluźnieniem moralnym i klęski archetypu zdrowej rodziny wobec prymitywnych, hedonistycznych żądz. Podkreślał także wojownicze i zdobywcze postawy Germanów, ale szczególnie interesujący jest inny fragment jego dzieła:

"Sam przychylam się do poglądów tych, którzy sądzą, że plemiona Germanii, nie wchodząc w związki małżeńskie z innymi ludami, zawsze były ludem odrębnym, czystym i podobnym tylko do siebie. Stąd też, wśród takiej masy ludzi, wygląd ciał jest jednakowy u wszystkich. Dzięki, niebieskie oczy, rude włosy, ciała potężne, wytrzymałe tylko w ataku. Wytrwałość w pracy wymagającej wysiłku już nie ta sama; źle też znoszą pragnienie i upały, do chłodu i głodu - pod takim niebem i na takiej ziemi - przywykli".

Cytat ten pozwala uzmysłwić sobie, jak bardzo zamkniętym, hermetycznym oraz przywiązanim do swojej etniczności i kultury społeczeństwem, były ludy z północy Europy (prawdopodobnie nie tylko Germanie). Ta oraz wiele innych myśli Tacyta przyczyniły się do popularyzacji jego dzieła w kręgach nacjonalistów niemieckich w XIX wieku, a zwłaszcza nieco później - w środowisku narodowych socjalistów, którzy całymi garściami pragnęli czerpać z Antyku, widząc w jego dziedzictwie jakby ogień prometejski dla współczesnych im, mrocznych czasów. Europejskie ruchy faszystowskie i "faszyzujące" jednak poniosły wówczas klęskę, do której przyczyniło się wiele poważnych błędów zarówno myślenia, jak i działania, nad którymi postaram pochylić się w innym artykule - w każdym razie nie zatrzymały one tego, co i tak nieuniknione. W XXI wieku dalsza liberalizacja Europejczyków jest nieunikniona i niestety - odcisnęła swoje piętno nawet na ruchach pretendujących do bycia spadkobiercami tamtych "żołnierzy politycznych".

W XX wieku nacjonalizm niemiecki próbował angażować wszystkie siły witalne narodu do walki z jego powolnym obumieraniem i dekadencją - mamy tu zdecydowanie chyba najbogatszą grę wspomnianych wcześniej ruchów, które kreowały i wcielały w życie własną wizję przyszłych Niemiec i Europy. Od nacjonalizmu klasycznego, konserwatywnego (popularnego szczególnie w kręgach arystokracji i sentymentalistów, cierpiących mentalnie i fizycznie po upadku II Rzeszy), przez strasserowski "Czarny Front" (przodujący w północnych Niemczech ruch robotniczy, dążący do budowy państwa ludowego), aż po niesławny, aczkolwiek najsilniejszy wówczas hitleryzm i

jego rewolucyjne podejście do kwestii całości cywilizacji europejskiej. Lista nazwisk ideologów niemieckiego nacjonalizmu (np. Oswald Spengler i jego "biologiczne spojrzenie na zagadnienie kultury", jak pisał o nim Feliks Koneczny; bracia Strasser, którzy sformułowali bardzo konkretny program socjalny, przyświecający ich ruchowi) jest jednak niewielką karteczką w porównaniu ze spisem wielkich ludzi kultury, sztuki, filozofii, teologii i innych dziedzin, jakich Germania dała gatunkowi ludzkiemu. Wiele wspaniałych osiągnięć i cała ta spuścizna, jaką Niemcy pozostawili Europie, wywołuje konsternację, gdy patrzy się na roztaczający się przed nami obecnie obraz tragedii tego narodu.

Niemcy są całkowicie oderwani od swojej natury - już nie są wojownikami i zdobywcami, po klęsce III Rzeszy denazyfikacja skutecznie wybiła im z głów ich pierwotną, charakterystyczną dla mentalności. Zgنیła obyczajowość, luźne podejście do kwestii seksualności, wyparcie archetypu rodziny przez prym ruchów LGBT, feministycznych i "pro-choice" - jest to coś zupełnie obce prastaremu etnosowi germańskiemu i co za tym idzie, burzące jego tradycyjne zdyscyplinowanie i wywołujące chaos ideologiczny, w którym ten nie potrafi się odnaleźć. O ile narody np. Europy Wschodniej są w stanie przewyciężyć dyktat poprawności politycznej dzięki nie dającym się zaburzyć, naturalnym (chciałoby się rzec "plemiennym") instynktom, o tyle przeciętny Teuton ma tak zakorzeniony strach przed nacjonalizmem, przed zdrowym egoizmem narodowym... przed samym sobą i własną tożsamością wręcz, iż niemożliwym zdaje się jakiegokolwiek odbudowanie jego dawnej tak jednostkowej, jak i kolektywnej siły. Współczesny nacjonalizm zaodrzańskich sąsiadów, odwołujący się do tradycji historycznych i będący faktyczną "alternatywą dla Niemiec", jest zepchnięty na margines, natomiast rzekomy "nacjonalizm" pokroju partii 'AfD' opiera się wyłącznie na ksenofobii, nie zaś dążeniu do naprawy społeczeństwa i negacji liberalizmu. Dodać do tego wszystkiego całkowitą uległość wobec prawdziwej inwazji obcych ras ludzkich i łamiącą się demografię tubylców (która w konsekwencji prowadzi do wymierania samego etnosu, a więc ostatniego bastionu niemieckiej normalności), a można wysnuć mniej lub bardziej smutną tezę, iż jesteśmy naprawdę świadkami zagłady Niemców, jakich znaliśmy z podręczników historii, lub nawet z osobistych relacji z nimi. Wystarczy spojrzeć na przeciętnego obywatela Okcydentu - jest on przyzwyczajony do swych wygód, nie zależy mu na przedłużaniu gatunku (a więc tego, do czego dąży przecież każda istota żywa); mężczyźni bywają zniewieściali, a kobiety zliberalizowane do granic możliwości.

W tej "antyniemieckiej histerii", jaką zaszczepia się młodym Niemcom, nie chodzi już tylko o niechęć do niesławnej III Rzeszy - wszystko, co tradycyjnie germańskie, wojownicze (II Cesarstwo, Prusy, także czasy zamierchłe) jest przyszłym pokoleniom skutecznie obrzydzane. W RFN hołubi się jedynie historyczne akcenty demokratyczne, republikańskie oraz liberalne. Gdy zaś słyszy się

wypowiedzi bardziej lub mniej znanych polityków z kraju naszych sąsiadów (np. Gregor Gysi mówiący o tym, że "mniejszy przyrost naturalny jest dobry, bo doprowadzi do wyginięcia elektoratu nazistów") i porównuje je z tym, co propagują w Polsce środowiska 'Gazety Wyborczej', czy 'Krytyki Politycznej' - wówczas nasuwa się spostrzeżenie, iż faktycznie komuś bardzo zależy na obrzydzeniu Europejczykom sobie ich samych. Należy wprowadzić sobie dobrze sprawę z tego, że państwo niemieckie w całej swej historii występowało jako byt opozycyjny względem Polski i wręcz nieustannie mu zagrażający - ja zaznaczę przy tym, że będąc pesymistycznie nastawionym do przyszłości całego Okcydentu, nie rozpaczam bardzo z powodu germańskiej słabości... Ale ta ruina niegdyś wielkiego imperium, ta tragedia dawniej tak dumnego i karnego narodu, to postępujące, ciche ludobójstwo całego etnosu (gdzie nawet młodzi nacjonałiści są konsumpcjonizmem tak skażeni, iż nie wyobrażają sobie życia swoich przodków, bez codziennych wygód) - to wszystko tak bardzo mnie przeraża i zasmuca, iż skłania do wyciągnięcia z tego jakichś wniosków.

Historycznie narody słowiańskie mimo wielkiego potencjału, znajdując się zbyt daleko od głównych, europejskich ośrodków cywilizacyjnych w Italii i Helladzie, nie dokonały tak wielu osiągnięć jak ludy germańskie, czy romańskie. Dzisiaj jednak oczy całego świata są skierowane właśnie na wschód Europy, który w odróżnieniu od Okcydentu, nie pozwolił konsumpcyjnym trendom wyprzeć swej Natury. Pierwotne, ludzkie atawizmy (takie jak dążenie do 'zdobywania' u mężczyzn, czy wspólne dla obu płci myślenie o przyszłym założeniu rodziny) są tu wciąż obecne. Nie da się też ze słowiańskiego umysłu wykarczować przywiązania do Tradycji i religii - wystarczy wybrać się do świątyni katolickiej, czy prawosławnej w dniu jakiegokolwiek ważniejszego święta, by się o tym przekonać. Oddolny, społeczny nacjonalizm jest wręcz zakorzeniony w polskim społeczeństwie, bo choć przez brak pewnej świadomości politycznej nie przekłada się on często na wyniki wyborcze, czy liczebność partii o takim profilu - to jednak duma z bycia Polakiem, przywiązanie do symboli narodowych i huczne obchodzenie ważnych dat historycznych (a nawet zwykła, NATURALNA u Słowian niechęć do obcych z innych kręgów kulturowych)... to wszystko świadczy o tym, że posiadamy wciąż coś, co tak żywotni i ekspansywni kiedyś Germanie, dawno już utracili.

My - polscy nacjonałiści - niezależnie od być może różniących nas poglądów gospodarczych, religijnych, czy geopolitycznych - nie możemy popełnić błędu naszych zachodnich sąsiadów. Taki apel może wydawać się absurdalny - wszak wszyscy sprzeciwiamy się antypolskiej propagandzie etc. etc.. Nie jest jednak już tak bezsensowny, gdy zważy się na fakt, że pomimo naszych radykalnych poglądów, wszyscy wciąż jesteśmy tymi samymi ludźmi, ulegamy tym samym pokusom co wszyscy ludzie, mamy te same słabości. Przesiadujemy na portalach społecznościowych, zamiast zająć się czymś naprawdę pożytecznym, uzależniamy się od nich (o



głupocie palenia flag 'Facebooka' nawet szkoda mi się tu zająknąć); korzystamy z dobrodziejstw napojów alkoholowych, czy wyrobów tytoniowych (które w nadmiernych ilościach niszczą nasz organizm), zamiast uprawiać jakikolwiek sportu. Zdarza się także, że sami (oczywiście jedynie prywatnie, nie na forach naszych organizacji itd.) relatywizujemy surowe, tradycjonalistyczne podejście do seksualności, czy ogółem obyczajowości. To wszystko postępuje wprawdzie powoli, ale w całym społeczeństwie, więc jeżeli już teraz nie zaczniemy zwalczać własnych słabości (a więc tego, co w ludzkiej naturze jest akurat szkodliwe), nie podejmiemy buntu wobec modernistycznego trybu życia, to nic nam nie zostanie po naszych poglądach. Bo czym jest nacjonalista, który nie potrafi przeżyć jednej nocy na leśnym łonie? Kim jest mężczyzna, który nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa swojej rodzinie? Kim jest kobieta, która nie chce być żoną i matką? Kim jest orędownik walki za Polskę, który nie potrafi zadać ciosu w obronie swoich racji? Słowianie to tradycyjnie ludy żywotne, liczebne, raczej defensywne i bardzo gościnne (czego dowodzi nasza historia), ale też waleczne, dumne i niepokorne - pielęgnujmy także i te cechy!

Dążmy do tego, do czego zostaliśmy stworzeni - Europa Narodów zatriumfuje dopiero wtedy, gdy jej ludzie odbudują swoją więź z samą istotą boskiego stworzenia. Dążmy do NATURY!

## **Patryk Płokita - „Dzieje irlandzkiego nacjonalizmu cz.3”**

W ostatnim tekście pt.: „Dzieje irlandzkiego nacjonalizmu cz. 2”, opisałem m.in. jak powstawała tzw. Pierwsza Irlandzka Armia Republikańska (IRA) (1916-1921) oraz jak mniej więcej wyglądał konflikt o niepodległość Irlandii z lat 1919-1921 pomiędzy „Podziemną” Republiką Irlandzką, a Imperium Brytyjskim. Warto wspomnieć, iż w ramach „Szturmu”, w tematyce irlandzkiej, poruszyłem również wątek dwóch person, w oddzielnych artykułach. Pierwszą z nich była kobieta i jej program polityczny w artykule pt.: „Wizja irlandzkiego nacjonalizmu według Konstancji Markiewicz”. Natomiast drugi tekst pt.: „James Connolly - irlandzki nacjonalista, socjalista, republikanin” to biograficzne kompendium wiedzy na temat tej osoby. Do owych tekstów serdecznie odwołuję, aby zrozumieć w pełni poruszoną do tej pory kwestię irlandzką w ramach „Szturmu”. Warto wspomnieć we wstępie, że konflikt ten, w wielu kwestiach przypomina nasze rodzime dzieje z tzw. okresu walki „Żołnierzy Wyklętych”.

W tym artykule na warsztat biorę przedstawienie trudnego okresu historycznego dla Irlandii i dla samego nacjonalizmu irlandzkiego. Chodzi dokładnie o irlandzką wojnę domową z lat 1922-1923. To właśnie wtedy doszło do pierwszych bratobójczych walk działaczy IRA. Konflikt naciskany przez Imperium Brytyjskie, wywołany przez natarczywość m.in. Davida Lloyd Goerge’a oraz Winstona Churchilla. Zbrojne działania, w których ścierały się emocje radykałów pragnących pełnej suwerenności i wolności w ramach wymarzonej „Republiki”, ścierające się z innym zdaniem pragmatyków, wierzących w „lepsze czasy dla sprawy narodowej”.

Gdy poruszamy temat irlandzkiej wojny domowej z lat 1922-1923, trzeba zrozumieć jej genezę. Oliwą do ognia był tzw. „Traktat 1921”, inaczej zwany też „Traktatem angielsko-irlandzkim” (ang. „Treaty 1921”, „Anglo-Irish Treaty”, oficjalnie „Articles of Agreement for a Treaty Between Great Britain and Ireland”, irl. „Conradh Angla-Éireannach”). Owy dokument był porozumieniem kończącym irlandzką wojnę o niepodległość z lat 1919-1921.

Ważne były tu zdarzenia jego podpisania. Warto je szerzej przedstawić. Rozmowy w kwestii porozumienia między Brytyjczykami, a Irlandczykami rozpoczęły się już w lipcu 1919 r. Główne rokowania trwały od października do grudnia 1921 r., w Londynie. Irlandzka delegacja składała się z pięciu osób. Kolejno byli to: Art Ó Griobhtha (Artur Griffith), Micheál Ó Coileáin (Michael

Collins), Riobárd Bartún (Robert Barton), Eudhmonn O' dugáin (Eamonn Duggan) oraz Seórsa Ghabháin Ui Dhubhthaigh (George Gavan Duffy). Natomiast przedstawicielami brytyjskiej strony dyplomatycznej byli: premier D. L. George, Austin Chamberlain, Birkenhead, W.S. Churchill, L. Worthington-Evans, H. Greenwood oraz G. Hewart.

Jedna i druga strona nieugięcie broniła swoich racji podczas obrad. Irlandczycy chcieli zachować pełną niezależność i integralność swojej ojczyzny domagając się m. in. „statusu wieczystej neutralności”. Natomiast strona brytyjska miała obawy, iż Irlandia zostanie w przyszłości wykorzystana przez obce mocarstwa jako „baza wypadowa”. Wspomnieć warto, iż takie sytuacje miały już miejsce w historii. Zrobiła tak już I Republika Francuska w 1798 r. oraz II Rzesza w 1916 r. Z racji tego obawy miały „dziejową podkładkę”. (Tylko, że te przytoczone państwa zostały „wykorzystane” przez Irlandczyków w walce o swoją niepodległość - w tamtym czasie Brytyjczycy nie potrafili tego zrozumieć). Wielka Brytania naciskała głównie, w tym danym momencie, na zawarcie wspólnego morskiego systemu obrony.

Główną i najważniejszą kwestią do opisanego z okresu rokowań pozostaje ugięcie się irlandzkiej dyplomacji pod presją zbrojną. Chodzi dokładnie o argument użycia siły przez Brytyjczyków, jeśli przedstawiciele dyplomatyczni „Dail Eirean” (ówczesny irlandzki jednoizbowy parlament) oraz „Sinn Fein” (irl. „My Sami” - partia polityczna, która w czasie wojny anglo-irlandzkiej stała się siłą dominującą w walce o niepodległość) nie przyjmą traktatu bez zastrzeżeń. Padły słowa ultimatum, iż jeśli strona irlandzka odmówiłaby podpisania traktatu będzie to równoznaczne z zerwaniem zawieszenia broni, a Wielka Brytania wypowie Irlandii wojnę o podłożu totalnym. W tym celu użyto by prawdopodobnie ciężkiego sprzętu. Chodzi tu o czołgi, wozy bojowe, artylerie, samoloty, itd.

L. George i reszta angielskiej dyplomacji zastosowała tutaj blef. Wielka Brytania gospodarczo po I Wojnie Światowej ekonomicznie się załamała. Jako państwo nie posiadała już siły na taki krok, ale skąd irlandzka dyplomacja miała to w tamtym momencie wiedzieć? W pamięci utkwiło irlandzkiej delegacji, iż Imperium Brytyjskie przez ponad 600 lat gnębiło Irlandczyków jak tylko mogło. Nie chcieli oni „powtórki” z represji. Pamiętali niedawno konflikt o niepodległość z lat 1919-1921. Wywalczyli taką wolność, na jaką ich było stać w danym momencie. Tak sobie przynajmniej tłumaczyli np. Michael Collins. Chcieli w tym wypadku przejść do pragmatycznej formy oporu i czekać na nowy czas walki. Myśleli, iż Irlandia musi się stać formą pośrednią ku niepodległości. Według nich rodząca się suwerenność musiała „odetchnąć” po ostatnim konflikcie z lat 1919-1921. Wycieńczona IRA nie była gotowa na kolejny konflikt, zwłaszcza totalny.

W konsekwencji takich słów brytyjskiej dyplomacji, z dociśniętą „mentalną śrubą”, irlandzka delegacja podpisała traktat pokojowy 6 grudnia 1921 r. Owy dokument został ratyfikowany przez

deputowanych irlandzkich z Dail Eirean 7 stycznia 1922 r. 64 głosów było za, a przeciwko 57. Ta minimalna różnica w głosowaniu podkreślała powstający późniejszy spór. Ten podział widoczny był już pośród narodu irlandzkiego, na popierających traktat, i jego przeciwników.

Radykalny podział był już widoczny po samym wspomnianym głosowaniu. Chodzi o zachowanie pewnego bardzo ważnego człowieka, związanego mocno ze sprawą Irlandzką. Lider irlandzkich republikanów, stojący na czele „podziemnej” Republiki z lat 1919-1921 - Eamon de Valera oświadczył, iż nie uznaje wyników głosowania. Zrezygnował on w tym wypadku z funkcji prezydenta Republiki. Opuścił on miejsce w Dail Eireann wraz ze swoimi zwolennikami. Ogólnie rzecz ujmując, Sinn Fein, IRA oraz powstające irlandzkie, niezależne struktury państwowe, podzieliły się na dwa obozy: zwolenników i przeciwników „Treaty 1921”, co w konsekwencji doprowadziło do wojny domowej.

Co zawierał owy traktat, że stał się kością niezgody? Kilka zapisów, które ideowo opluwały irlandzki republikański nacjonalizm i dążenie do suwerenności. Pierwszy z nich to podział administracyjny wyspy na Irlandię Północną i Irlandię Południową, a więc rozdarcie kraju i brak integralności państwowej. Prowincja Ulster, zdominowana przez rojalistycznych protestantów - Oranżystów, w ramach tego dokumentu miała szansę „oderwać się legalnie” od macierzy. Co tak się stało i trwa to do chwili obecnej. Drugą kwestią pozostaje przyjęcie nowej formy państwowości - „Dominium”. W Irlandii forma takiej struktury miała być kalką już istniejących „tworów państwowych” na wzór ówczesnej chociażby Kanady czy Australii. Trzecią ważną kwestią pozostawała zachowana przysięga wierności wobec króla i prawa monarchy do mianowania gubernatora. Walcząc o republikańskie wzory, zapis o monarchii, Irlandczykom po prostu „wypalał oczy”. Czwartą kwestią pozostaje zobowiązanie skarbu irlandzkiego do spłacenia części brytyjskiego długu wojennego. Piąty i ostatni zapis to obecność wojsk brytyjskich w nowo powstałym tzw. „Wolnym Państwie Irlandzkim” (irl. „Saorstát”) w postaci brytyjskiej marynarki wojennej ze swoimi bazami w kilku portach. Tak w „telegraficznym skrócie” wyjaśniłem najważniejsze zapisy „Treaty 1921”. To one właśnie stały się problematyczne w interpretacji i doprowadziły do podziału na zwolenników i przeciwników traktatu, w konsekwencji doprowadzając do wznowienia działań wojennych.

Na dobrą sprawę, podział na popierających traktat i jego negacje odcisnęło swoje piętno na społeczeństwo Irlandzkie. Za traktatem byli parlamentarzyści, działacze polityczni i część ochotników IRA tzw. „Traktatowi” oraz część działaczy Sinn Fein tzw. „Traktatowej”. Nie można zapominać w tym miejscu o tzw. „Drugim zgromadzeniu Dail Eirean” także popierającym ten dokument. Wyżej wymienieni stworzyli podwaliny pod państwowość przyszłego Saorstát, np. ta część IRA popierających traktat przekształciła się w Armię Narodową. Oprócz tego za traktatem był

kler (Kościół Katolicki oficjalnie popierał traktat). Jeśli chodzi o warstwy społeczne w Irlandii, które popierały traktat to głównie posiadacze ziemscy i przedsiębiorcy. Z ważniejszych person związanych z irlandzką niepodległością za „Treaty 1921” wymienić trzeba m.in. M. Collinsa, A. Griffitha oraz E. O’Duffy’ego. (Ten ostatni założył w latach ’30 XX w. w Irlandii tzw. zgrupowanie „Błękitnych Koszul”, które nawiązywało bezpośrednio do włoskiego faszyzmu).

Gdy już przedstawiliśmy obóz „pro-traktatowy”, czas przejść do antagonistów. Przeciwnicy traktatu stworzyli obóz niejedności. Określa się ich w historii jako „anty-traktatowi” albo „Republikanami”. Przeciwno traktatowi była tzw. „Sinn Fein anty-traktatowa”, devalerażyści (osoby związane z E. de Valerą, które zawiązały „podziemny” rząd republikański) oraz tzw. „IRA anty-traktatowa”. Nie można zapominać w tym miejscu o irlandzkiej lewicy związanej z ugrupowaniami robotniczymi. Chodzi m.in. o dawnych „działaczy” Jamesa Connolly’ego. Z osób niepopierających traktatu, oprócz wcześniej wspomnianego E. de Valery, wymienić trzeba: Liam’a Lynch’a, Rory’a O’Connor’a, Liam’a Mellows’a, Tom’a Barry’ego, Seal’a MacBride’a, Peadar’a O’Donnell’a oraz Cathal’a Burgh’a.

Na dobrą sprawę, za początek konfliktu z lat 1922-1923 uznać trzeba polityczny rozłam po głosowaniu, ze stycznia 1922 r., natomiast działania zbrojnie miały miejsce trochę później, bo od czerwca 1922 r. Ogólnie wojnę domową w Irlandii podzielić trzeba na 3 fazy.

Pierwsza miała miejsce od 28 czerwca 1922 r. do 5 lipca 1922 r. Tutaj działania były podobne do tych, które miały miejsce podczas Powstania Wielkanocnego (1916), a więc walki głównie w stolicy Irlandii, w Dublinie. Pod koniec czerwca i na początku lipca 1922 r. oddziały Armii Narodowej (AN) wdarły się do kompleksu Czterech Sądów. Owy budynek okupowany został przez IRA anty-traktatową. AN dokonało ataku na bagnety. Doszło do pożaru i wybuchu wspomnianego budynku. Do dzisiaj trwają spekulacje, co było przyczyną zniszczenia: ostrzał artylerii czy sabotaż republikanów? W wyniku pożaru spalono dużą część archiwów historycznych. Pomimo ataku Armii Narodowej, republikanie nie chcieli początkowo strzelać do rodaków. Dopiero w późniejszym czasie w geście samoobrony rozpoczęła się wymiana ognia. 5 lipca 1922 r. doszło do kapitulacji m.in. przyplaconą samobójczą śmiercią Cathal’a Burgh’a - jednego z przywódców anty-traktatowych. Biegł on w geście desperacji na oddział Armii Narodowej przy O’Connell Street. Ciężko ranny, wieczorem zmarł on w Mater Hospital.

Druga fazę oszacować można od 5 lipca 1922 r. do 19 sierpnia 1922 r., gdzie siły Saorstat napadały na republikańskie fortyfikacje na zachodzie i południu Irlandii. Tutaj za przykład posłuży prowincja Munster. W tym miejscu wojna przyjęła formę partyzancką z elementami wojny pozycyjnej. (Republikanie ustawiali linię okopów pomiędzy miastami: Limerick, Tipperary, Waterford). Armia Narodowa używała w działaniach pojazdów opancerzonych, lotnictwa oraz artylerii. Ponadto robiła

ona desanty ze statków. Anty-traktaktowi również używali pojazdów opancerzonych - głównie zdobyte na przeciwniku. Teren południowo-zachodni zielonej wyspy, w czasie wspomnianej wojny domowej, określa się w irlandzkich dziejach mianem „Republiki Munsteru”.

Trzecia faza miała miejsce od 19 sierpnia 1922 r. do 23 maja 1923 r. Charakteryzowała się typowymi walkami partyzanckimi, porównywalnymi do tych z okresu wojny o niepodległość Irlandii z lat 1919-1921. Był to najdłuższy okres i najbardziej brutalny. Saorstat zaostrzył represje wobec osób posiadających broń palną. Oprócz tego w tym czasie pojawiły się pierwsze egzekucje republikanów. Pierwsze miały miejsce w listopadzie 1922 r. Warto wspomnieć, iż w tym okresie IRA anty-traktatowa niszczyła linie telegraficzne oraz tory kolejowe. Ich działacze napadali na sklepy oraz poczty. Nie zyskało to żadnego poparcia pośród ludności cywilnej. Jak widać, trzecia faza irlandzkiej wojny domowej, w pewien sposób przypomina losy „Żołnierzy Wyklętych” z polskiej historii. Nie bez przyczyny o tym mówię. Chcę bardziej zobrazować czytelnikowi formę walk z tego okresu.

W ostatecznym rozrachunku, konflikt ten przegrała strona anty-traktatowa. Przy słabym zapleczu logistycznym, sprzęcie oraz braku poparcia ludności cywilnej skazana była na porażkę. Widząc do czego doprowadza wojna domowa i rozlew krwi, E. de Valera w maju 1923 r. rozkazał działaczom anty-traktatowej IRA zaprzestać walk. Rozpoczęła się polityczna walka o suwerenność Irlandii.

Warto w tym miejscu zastanowić się, dlaczego siły Saorstat w ogóle zaangażowały się w walkę z ugrupowaniami anty-traktatowymi. Czy można określić ich mianem „brytyjskich kolaborantów”? Wszelkie działania Armii Narodowej doszukać się trzeba w nacisku brytyjskim, który polegał na słownych groźbach m.in. W. Churchilla, że jeśli siły Saorstat przegrają, a siły anty-traktatowe zwyciężą, to będzie równoznaczne z odrzuceniem traktatu i wznowieniem działań wojennych z Imperium Brytyjskim. Oprócz tego naciskano, aby nie doszło do negocjacji z republikanami w czerwcu 1922 r., a więc na początku zbrojnych zmagania. Postawiło to władze Saorstat w patowej sytuacji. Oprócz tego Brytyjczycy wspierali siły Wolnego Państwa Irlandzkiego m.in. w przeciągu pół roku (1922 r.) dostarczono ponad 3500 granatów, 11900 karabinów, 4200 rewolwerów oraz 79 CKMów z amunicją, która mogła wystarczyć dla 5 tys żołnierzy. I tutaj warto się zatrzymać. Ważna rzecz w historii tej wojny. Lider popierających traktat - M. Collins zrobił coś wbrew Brytyjczykom, nawet ich o tym nie informując. Mianowicie przerzucił on część broni dla działaczy IRA w Irlandii Północnej, aby walczyć z lojalistami. Dojść można do wniosku, iż Ulster próbowano zdobyć siłą, albo broń wysłano w innym celu - w tworzeniu samoobrony przed bojówkami oranżystów. Nie zmienia to faktu, iż tak jak bohater narodowy - anty-traktatowy C. Burgha, tak i pro-traktatowy - M. Collins, stracił życie podczas tego konfliktu. Siły anty-traktatowe dokonały na nim udanego zamachu. Miało to miejsce dnia 22 sierpnia 1922 r., we wsi „Béal na mBláth”. Jak do tego doszło?

Przejeżdżał on w tym czasie autem. Czający się w pobliżu partyzanci z anty-traktatowej IRA rozpoznali go. Doszło do strzelaniny. W wyniku wymiany ognia, M. Collins dostał w głowę. Zmarł na miejscu.

Na koniec pozostaje krótkie podsumowanie. Okres wojny domowej w Irlandii jest czasem trudnym do opisania i zrozumienia. Szacuje się, iż wyżej opisany konflikt pochłonął więcej ofiar, niż wcześniej wojna o niepodległość Irlandii z lat 1919-1921. W morzu bratobójczej przelanej krwi, Irlandczycy nauczyli się walczyć nie z karabinem w rękę - między sobą, a politycznie - o swoją suwerenność. Ostatecznie, ta owa „polityczna walka” została wygrana dopiero w 1949 r. Dla południowych hrabstw nastął czas pełnej niepodległości. W tym czasie ogłosiły one, że stają się wymarzoną przez okres prawie 200-stu lat „Republiką Irlandzką”.

#### Bibliografia:

Collins M., „The Path to Freedom”, wyd. The Talbot Press, Dublin 1922.

Cottrel P., „The war for Ireland 1913-1923”, wyd. Osprey Publishing, New York 2009.

Donnelly J., „Encyklopedia of Irish History & Culture”, wyd. Thomson Gale, 2004.

Grzybowski, S., „Historia Irlandii”, wyd., zakład narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2003.

Klimkiewicz S., „Republika Irlandii”, wyd. KAW, 1979.

Moody T.W., Martin F.X., „Historia Irlandii”, Poznań 1998.

„Nowe Konstytucje, XIII. Konstytucja Wolnego Państwa Irlandzkiego”, przeł. J. Makowski, wyd. nakład Księgarni F. Hoesicka, Warszawa 1925.

O’Brien B., „IRA”, wyd. Wiedza Powszechna, Warszawa 2001.

Ó hEithir B., „Historia Irlandii”, wyd. Wiedza Powszechna, Warszawa 2000.

## **Tomasz Kosiński - „Recenzja Ivo Andrić „Most na Drinie”**

*Żywot to dziw niepojęty, bo wciąż niszczy i szczybi się, a jednak trwa niezłomnie jak most na Drinie*

Ivo Andrić to jugosłowiański noblista, powieściopisarz, pochodzący z chorwackiej rodziny, uznający siebie za Serba. Urodzony w Wiszegradzie nad Driną (obecnie Bośnia i Hercegowina -Republika Serbska) w 1892 roku . Studiował w Zagrzebiu, Krakowie oraz Grazu. Przed pierwszą wojną światową zaangażował się w działalność niepodległościową w grupie Młoda Bośnia (Młoda Bosna) powiązanej ze słynną organizacją Czarna Ręka. Po zamachu na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Sarajewie w 1914 roku był internowany przez 3 lata. Następnie poświęcił się działalności literackiej. W 1924 roku uzyskał tytuł doktorski broniąc pracę pod tytułem *Rozwój życia duchowego Bośni w czasach panowania tureckiego*. W latach późniejszych pełnił funkcje dyplomatyczne. Okres II wojny światowej spędził w Belgradzie pozostając neutralnym wobec władz. W tym okresie napisał swoje najważniejsze powieści m.in. *Most na Drinie*, *Panna* oraz *Konsulowie i ich cesarskie mości*. Po wojnie został posłem do jugosłowiańskiego parlamentu oraz pełnił rolę przewodniczącego związku pisarzy. 26 X 1961 roku otrzymał nagrodę Nobla w dziedzinie literatury za całokształt twórczości. Wyprzedził m.in. J.R.R. Tolkiena. Zmarł w 1975 roku.

*Most na Drinie* to opowieść o mieście Wiszegrad, o jego mieszkańcach, ich życiu, zwyczajach, troskach i problemach. Akcja powieści rozpoczyna się XVI wieku w Bośni, gdy przyszłe miasto jest niewielką osadą leżąca w ogromny Imperium Osmańskim, w której krzyżują się wyznania i języki poddanych sultana. Wioska żyje głównie z handlu dzięki odbywającym się w tym miejscu przeprawom przez rzekę Drinę. Dzięki staraniom Mehmeda Paszy Sokolovicia (jako dziecko urodzone niedaleko Wiszegradu został wzięty w służbę sultana tzw. dewszirma) postawiono most, który ułatwił transport oraz pozwolił na rozwój osady. Mijały lata, Wiszegrad rozrastał się, a most stał się nie tylko drogą łączącą przeciwległe brzegi, ale również miejscem spotkań towarzyskich, gdzie zarówno muzułmanie, żydzi, jak i chrześcijanie wspólnie dyskutowali, handlowali, czy grali w karty. W ciągu kilku stuleci wykształciła się silna wspólnota lokalna, podzielona religią i obyczajami, jednak potrafiąca wspólnie przeciwstawiać się zagrożeniom. Symbolicznym



przykładem jest tutaj wspólne ratowanie dobytków mieszkańców, gdy miasto nawiedza powódź stulecia.

Wraz z nadejściem XIX wieku w mieście zaczynają pojawiać się niepokoje związane z budzącą się świadomością narodową mieszkańców. Do tego czasu ludność dzieliła się według wyznania. Po nieudanym powstaniu Serbów w 1804 roku życie miasta zaczyna zmieniać się. Pojawia się już nie tylko hasła nawołujące do powstania narodowego, ale także powoli docierają nowej idee z Zachodu. Wraz z nastaniem 1878 roku i traktatu berlińskiego Wyszegrad przeszedł pod panowanie austriackie. Zaczęto budować kolej, która połączyła miasto z resztą nowego państwa. W tym czasie miasto powoli traci swój wschodni charakter. Turecka kultura zostaje wyparta przez europejską. Zmienia się język urzędowy, moda oraz zwyczaje. Docierają idee socjalistyczne i nacjonalistyczne. Mimo tego jedna rzecz pozostaje niezmienna - most. Wokół niego w dalszym ciągu rozwija się życie towarzyskie miasta. Powieść kończy się w 1914 roku, kiedy jedno z przęseł mostu zostaje poważnie uszkodzone. Ma to charakter symboliczny, gdyż naruszono nie tylko budowlę, ale symbol. Symbol połączenia Wschodu z Zachodem, tak charakterystycznego dla kultury bałkańskiej.

Powieść Ivo Andrić to doskonała ilustracja tzw. „bałkańskiej tożsamości”. Opisał świat, którego doświadczył w sposób barwny i interesujący. To opowieść o dziejach lokalnej wspólnoty, która mimo różnic tożsamościowych zawsze działała dla dobra ogółu. Wraz z nadejściem rządów cesarskich doszło do zmiany. Zachodnie idee, moda i kultura powoli rozbijały tradycyjną strukturę miasta. Mimo tego, że nowi przybysze zaaklimatyzowali się w Wyszegradzie nic już nie było takie samo. Rewolucyjne idee porwały młodzież, nacjonalizm nawoływał do zbudowania państw narodowych, a socjalizm do zerwania z tyranią kapitału i cesarza. Naruszono wielowiekową tradycję, skłócono ze sobą dawnych sąsiadów, którzy po dzień dzisiejszy walczą ze sobą...

Książkę zdecydowanie polecam osobom zainteresowanym tzw. metafizyką pogranicza.

Wielowiekowe, samorzutne przenikanie się kultur, religii i języków wytworzyło wspólnotę, która funkcjonowała w harmonii. Andrić doskonale ukazał zwyczaje poszczególnych grup mieszkańców osady, z ich zwyczajami, problemami oraz ich cechami charakterystycznymi. Uchwycił również zmiany, jakie na Bałkanach wywołały zawilości XIX i XX wieku, które po dzień dzisiejszy oddziałują na tamtejsze społeczności. Książkę warto również przeczytać z tego względu, iż opisuje zależności, które w pewnym sensie możemy odnieść do terytorium obecnej, jak i dawnej Rzeczypospolitej. Górny Śląsk, czy dawne Kresy to tereny, na których także przenikały się trzy religie, występowały różne języki oraz krzyżowały się narodowości. Podobnie, jak na Bałkanach w XIX wieku doszło do „rewolty tożsamości” która również skończyła się krwawo...